





84

2422



# FRUSTRA

Съ тѣхъ поръ какъ вѣчный Судія  
Мнѣ далъ всевѣдѣнье пророка  
Въ очахъ людей читаю я  
Страницы злобы и порока.

*М. Лермонтовъ.*

KIJOW.—1907.

NAKLAD KSIĘGARNI L. IDZIKOWSKIEGO,  
„DRUKARNIA POLSKA“ PROREZNA № 9.



**INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN**

**Biblioteka**

**ul. Nowy Świat Nr 72**

**01-800 Warszawa**

**Tel. 26-68 63, 26-52-31 w. 42**

792

PRZEWÓZ VAGIA.

1807 501251



## SPOWIEDŹ.

Pamiętam po dziś dzień w każdym szczególe  
swój pierwszy straszny błąd,  
Jak duszno mi było w mniszej regule,  
jakem szedł w życia prąd.

Gdy o znicestwieniu mdłej materyi  
huczał asceta-ksiądz,  
Paliły się we krwi mych arteryi  
ognie płomiennych żądz.

Gdy brać odprawiała święte praktyki,  
wznosząc się duchem wzwyż,  
Jam śnił o pogańskiej bóstwie Attyki,  
ukryty w cieniu nisz.

I jużem nic więcej nie chciał, byle je  
pieścić, całować lżą.  
Ach, miałem w ustroniu, gdyby lilije  
białą tę Venus mą!

Tam stała w róż woni, róż, konwalii,  
patrzac się w jasną toń.  
Jam z ust pił i na pierś padał w szale i —  
tulił płonąca skroń!..

I przyszedł okrutny — młotem zmierzył się,  
strzaskał ją, Venus mą!  
Zabiłem! — grób czarny dech mu ze żył ssie —  
a ją-m opłakał krwią!..

Pamiętam po dziś dzień w każdym szczególe  
mój pierwszy straszny błąd,  
W klasztornej mi duszno było regule,  
porwał mię życia prąd...

## PRZYGODA TOWARZYSTWA.

Otom sobie plotka mała, Kizia-Mizia, cali pięć i pół bez mała. Okolica mnie zaszczyca i hrabina Dyzia. Mam futerko lśniące, bure, gładką skórę... skórę? Któż to widział! a fe! jak szkaradnie i nieładnie, trywialniej niż w café... pst. skórkę, każdy łącznie. Nosek chrząstką — nie chrząstkowy ani chrząstkowaty. — Czy się skradam u alkowy, między listy i makaty—nosek miękki, różoweńki i wilgotny w miarę.

A mam takie dziwne szczęście, że — czy nie było zamęźcie — czy już było, wszędy zwęszę czułą parę, gdzie nikomu się nie śniło. Wiem ja dobrze, jak kto siedzi, stoi, leży — gołysz, w koszuli został li, albo bez koszuli snadniej, jak się wiedzie — wiedzą też sąsiedzi. Kto się uprze mi stać, siedzieć, leżeć, niechaj zginie i przepadnie! tego póty stawiam, sadzę, kładę, że utrafię wraz, — i radzę szczerze-ć, byś nie poszedł w politowań wyklęty, nie zakłęty — w las.

Chód mięciutki, ani utkwi, sucho z wody zawsze wyjdę — takam kocia unikatka. Mówią jacyś, żem kociego rodu wstydem i zakąta—ja, ja, Kizia-Mizia, plotka mała!

Niech tam, idzie mi jak z płatka! — Znam się z kaczką, parą świnek, wśród bagienek i boginek swego światka jam pieszczotka, mea der, lubię ze wszech miar skandal i harmider, mody, wzbudzam żółcie i żółtoście— i wychodzę sucho z wody.

Ach! to jednak wyznać muszę, że już idzie mi nie-  
sporo, — wysychają wszystkich dusze i dziś leją—lurę.

Lecz tej jednej, och! zaleję sadła w skórę, popamięta każdą porą swoją skórę, i honoru mego sito, dziu-

re! popamięta, jakem kotka, i w niedziele i we święta — popamięta, bez pardonu! ach, honoru mego sito, ach, bon-tonu!

Otóż — myję pyszczek, będą goście! myję śliną, któż bo sprawi mydło mi to, — tamte bydło, te sprośności?!

Dzyn, dzyn, schodzą się, dzyn, goście — pan gospodarz wdzięcznie wita, aż mi jedna myśl zaświta i do jednej zdążam właśnie.

O kolana się ocieram, na kolana skaczę właśnie, ani pytam, w ślepki nie spojieram, rada czy nierada — nie wypada, przyjąć musi, toż tom kotka, plotka, plotka — z babek, ciotek i mamusi.

Bodaj tam po kątach, ustek, buzi też kącikach się wycierać! Czy Lubicz, czy Sieradz — jedno mi wycierać, — niech że raz już przecie jakieś kąty poznam, ale inne i niewinne, lecz bez kurzu i nie śmiecie, przecie! bom ci plotka, plotka, wiecie!

Gdy tak wzdycham, tęsknię tak, oblizuję się, jak na słoninkę kot, — nie kot, a ptak! ech, gdzieżby ptak; et, ot! niech będzie kot!

Ząbki przednie, stroje letnie, ząbek przedni i pazurek niepośledni, — kto się tego tam dopatrzy, a już głośnie, a już draśnie, a — i przetnie, wszak sukienek tylko trzy.

Już dopadam, już zaglądam, spłomieniła wnet jak rak, lecę, padam, leżę — w znak!

A — a! poczekaj że mi ty, już ci sprawię taką łaźnię, nie pomoże i sukienek trzy. Ej, poczekaj że mi ty! zejdę ciebie na tem właśnie, stamtąd właśnie, ach! jakże mi powiedzieć właśnie, a jęczyczek świerzbi właśnie.

Licho ciągnie za jęczyczek, pyta: niema gdzie nożyczek!

Trudna rada, a powiedzieć nie wypada, — trudna rada, a powiedzieć nie wypada. Wiem co zrobię!... Kizia Mizia, choć powiedzieć nie wypada, Kizia, Mizia — no, Kizia, Mizia, no — izia!

Odetchnęłam, spieszę dalej, bo i wstyd mnie gna i pali, i się zemścić pragnę jej i rozpuścić stronie wszej, co to za bezwstydna, potwór, jakich świat nie widział, i niech nie wie, boby świat mu wnet zozydzał — taka skromna i potulna, cicha, czysta — niby wujna, jak baranek, jak jelonek, ale spójrzcie ino z pod obstonek, tak jak ja...

A wam chluśnie jakby z dachu, stamtąd, wiecie... Kizia, Mizia... Myślę, że to tak ze strachu.

Gdyby, niżli... Obroń Boże mnie tej myśli! chociaż do dziś dnia liżę się na dachu, myślę, że to tak — ze strachu...

## POSZEDŁ I ZABRUDZIŁ SIĘ.

Wczesnym się rankiem wielki stolarz powszechności dzień—po dniu marudnej potnej pracy podniósł tego lata.

Wstał, z czerwonych wytrząsał kłaków resztek szarych wiórów i trzasek i jął się warsztata.

Długie godziny zmierzchu przedzaranne, gdy terminował u Grudnia, a raczej ciężkim wystugując się terminom,—więc naprzód jako niezgrabny chłopiec podwórzowy, potem podmajstrek, potem czeladnik niełatany i całkiem zaszarzany ochędożne progi zbożne obijał sprawą nożną, więc, niesprawnie (się) trzymając zakupy pani majstrowej, nie zatwardził bynajmniej w szczęśliwości owej swego, ani... Wylany był, a że ujmował się za pćią słabszą (nie ujmował!) z sercowości owej, któż mu bierze za złe? — Dobrze ludziom robił.

Gdy tak stał wspaniałej postaci podany naprzód, pogodnym mierząc przestrzeń wzrokiem, z powagą myśl wążąc na jasnym czoła sklepieniu — to też poważany i ceniony musiał być przez ogół.

Ja —wołę noc. We dnie roi mi się niewiedzieć co. Jestem widać, nieco inny od innych. Przesadny jestem. Cóż bardziej prostego?

— Czyjś hebel ognisty chodził w górze. Winęły się ścieszki z pod żelazca, uściełały—wypełniły ziemię. Leciwały i wbijały się drzazgi na tego chłopczynę, co nieruchomy wsparł się i patrzył.

Że ktoś zbrodniczy, nieostrożny czy zuchwały rzucił iskrę i zajął się przestwór i stanął w ogniu, w słońcu człowiek. A jako w baśni o zaklętej górze, nie spojrzął,

nie odwrócił się — brat najmłodszy, i nie tknął go płomień, i jak w baśni na zaklętą uszedł górę, od dum dumny szczyt.

Mnie — dwoi, troi mi się w oczach. Choruję zaś na braki oczne i uboczne. Nie to, żebym tego widowiska wydał się tak niewdzięcznym pacjentem na nieczułość, chociaż ciemno robi mi się w oczach.

Owszem, widzę, co do mnie należy. Jak i zrenica moja — kurczy się i znika, to wraca znów, lecz jakby przez jakieś okno skalne ducha, w trzecim pokoju, na dalszym planie.

Na pierwszym planie niedźwiedz — słoneczny mrówkojad. Na pierwszym planie roje pszczoł w powietrzu i mrowie, słońca żółta patoka. Jeden i drugi ostrym kłującym językiem wybiera pszczoły i mrówki i następnie wciąga w półcień pyska — głąb' ogrodu. — I chłopiec ów! Ta szklista głąb' zdaje się pociągać go, szorstki język zdaje się pochwycać go. Jak te wichorki jego, przyczesane i przyglądzone drobiazgową ręką matki, rozczesana nocna ulewa kwiatuszki i trawy, co jak włosy jego niesforne, odległy miejscami odbite od gromady—i wichrzą.

Jak on czyściutki i świeżutki stał z czerwoną pętlczką Wawrzynek Wilczelyczko, pod parasolikiem pieniek, elegant pierwszej wody, stary przyszły grzyb, goździk czy tam kołek drugi, stokrotka, macierz-anka, drobne wonne ziółko, którego używają na herbatę i kąpiele dla młodych dziewcząt i chłopców, i rozdziawiony lwa salonowego pyszczek lwi, rodzina ślazów pospolitych.

A opodal, jak twarz wiejska obmurusana, w bruzdach brudu niepodeschła droga.

I rozpaczliwie czepiały się doń za ubranie, chwytali go za łydki, próbując powstrzymać oślepieńca, co szedł na lep ozorów mdłych a śmiesznych, pretensjonalnych a niezdrowych — nie wołowych.

Tamte — wołowe — niechby tam, mówią — po-  
zywają ludzie.

A jemu, jemu wzięto duszę w powietrze i szedł za  
gwiazdą swoją, nie widząc nic, cokolwiek się wokół  
działo, i szedł nie widząc nic, cokolwiek u nóg mu leżało,  
i nic nie było w nim, ni poza nim, aż wyszedł na drogę.

Brały wannę wróble w kurzu, babrały się w kałuży  
malcy. W naturalnej, niesłownej umowie grzebała zgraja  
szkodników — małych wróbli i ludzi.

Przysunął się, zrobili miejsce mu, nie opuszczając  
zabawy.

Usiadł na kupie piasku, i zwolna przesypując ziarn-  
ka jego w palcach, leniwie się patrzył na swoich towa-  
rzyszy gieodezyjne prace.

Popchnięty sam skubał coś. Chodzili potem wy-  
bierać kukułcze jajka z gniazd ptasich, przedzierając się  
przez gęste kupy jałowcowe, i do pobliskiej rzeczutki,  
do której szło się przez rozchytany mostek z sterczącymi  
pniami, gdzie, zakasawszy do kolan, albo wcale spodni  
się wyzbywszy, gołemi rękami dostawali z pod korzeni  
raków z długimi wąsami, nie bojąc się wcale groźnych  
szczypców tamtych.

Wdarli się przypadkiem do sąsiada na jagody „po  
sąsiecku“, skąd pokrótce musieli się wynosić dla sro-  
giego hałasu psa i pana jego, który pospiesznie nadbiegł  
i kijem groził i nieprzystojnie się odgrażał.

Lecz opychali się porozduszanemi w pospiechu po  
kieszeniach czereśńmi.

Za stodołą gdzieś zjawiły się niewiedzieć skąd i jak  
wydobyte pomięte kromki chleba, sperki, kartofle. Każdy  
dobywał coś swego.

Jadł i pił z nimi.

A gdy nad wieczorem obwałanego odprowadzała  
go zgrzana i zadyszana dziewczyna ode dworu, opowia-

dając mu swoje z nim umartwienie bez które państwo chcą ją wypędzić ze służby — nie wiedzieć czemu obwiesił się jej na szyi.

Ledwo oczyszczono go i poprawiono na nim odzienie, zawołano go do stołu, chcąc zawstydzić przy gościach i rówieśnikach i rówieśniczkach, porządnie już wynudzonych i ukradkiem mu zazdroszczących. I wchodził do salonu, gdy napotkał surowy głos matki — a to co? Badawczy wzrok matki dojrzał coś.

Podjął nogę i stwierdziwszy w ten sposób przed wszystkimi niewinność osobistą szybko odparł. — To glinka, mamusiu, ależ doprawdy glinka!

I była to doprawdy glinka. Nie ta spróchniała glina starozakonna, z której po dziś formują obrzezańców, ale nowa świeża glinka.

I z tego przemycanego kawałka tej gliny wam lepię człowieka!

Nie uczynię go na obraz i podobieństwo swoje, bom dziś niedoskonały i niestały jest, lecz tchnę weń nieśmiertelnego swego ducha, i żyć będzie, żyć ciągle będzie.

W tem głowa moja, myśl moja, ptak wyobraźni smolnopióry, wola moja — żyć będzie!

I więcej, odkryję wam się. Jam wtargnął do raju waszynego, z odnajętym od was strachem na czatach, ołowianym żołnierzykiem z mieczykiem dla dzieci — mieniący go złotym i cherubem, co jest oszustwem nazbyt grubym — i sięgnął po owoc zakazany. Dziś pożywa go wielu, nie słysząc waszych syków, węże!

I jeszcze: wybiję wam zęby!



## PARODYA.

Kłamał.

Podobno nie kłamały nigdy dzieci perskie — to były dzieci perskie.

Kłamał, a więc kłamał—w domu, w szkole i na każdym miejscu.

Co prawda, nie tak zawsze i wyłącznie — w domu, w szkole — tak, lecz by z koleżkami znów tak bardzo — to nie, bardziej błagował, niżli kłamał.

Ależ, nie warto o próżne spierać się brzmienia — tedy zawsze kłamał.

Kłamstwo—rzecz brzydka, wstrętna—rzecz jasna.

Gdyby jeszcze dojrzalsi wiekiem i osobistością z prawdą się raz jeden, drugi rozminęli — trudno, snąc tego, nie innego wymagały od nich sposoby bycia. Pamiętajmy ciągle, że na zawiłych i krętych ścieżkach żywota najwięcej wysunięte na szwank oslizgnięcia się podkute konie są.

Lecz gdy nas fałszem karmią niewinne usteczka, co to jedynie z ust dawać ptaszętom mogą — jest to potworna anomalia, gdy jeszcze fałsz i obłuda życia nie miały, trzeba sądzić, przystępu ani czasu do młodocianego serduszka i umysłu — a kłamie, jest to ułomność i kalectwo, kala i plugawi.

Tak. — Cóż o takim dziecku sądzić?

I szerzy się kłamliwość u dzieci z niedoścignioną szybkością. A kiedy są kwieciem (wiosny życia i ducha) tedy ono t. j. kłamstwo jest chwastem, który — wyrwany w jednym miejscu, wyrasta w drugim lub wręcz i na tem samem, a kiedy są jako owieczki bez pasterza? wówczas szerzy się jak zaraza, bądźmy otwarci — jak onanizm.

Nieosobliwie kłamał.

Najzupełniej zrozumiała, nie mówię --- wytłumaczona, kiedy się oszukuje wychowawców, bądź przez bojaźń kary, bądź jeśli się odzywa w zatwardziałej główce grzesznika, choć trocha sumienia i poważania względem dokuczliwych moralizatorów — wprost, aby się nie czerwienić za siebie.

To może niekiedy rozczulić.

Można być także krnąbrnym, nieposłusznym, wyjęzyczonym — nie znajdzie się na takiego łagodna perswazyja, znajdzie kij lub różga, albo, co lepiej—pożyje, życie samo nauczy go moresu i bycia z ludźmi.

Prawda, i na tego znalazłyby się kij lub pałka — tylko chcieć.

Żeby powiedzieć po sprawiedliwości, nie pozostałoby go tak samemu sobie naówczas — w kłamstwie? Nie dla tego, by nie zbłądził tam, lecz to pewna, by go skierować na drogę właściwą, tylko nie udawało się.

Stał, słuchał, patrzył i pewnie nieraz zmęczył się po nieco przydługiej przemowie, lecz nie żałował siebie.

I kłamał. Chociaż nie dla kary ni dla pokrycia występku — kłamał wciąż. Było-ż to wrodzone zamiłowanie, sztuka dla sztuki? — Może, pewnie, bowiem oburzali się, ależ najwięcej na tę jego (kłamstwa) nieodpowiedniość, bezcelowość prawie i bezpodstawowość.

Poco? naco? biedzili się nad tem niezmiernie, a i jego biedzili — i nie dowiedzieli się nigdy, gdyż był na tyle skryty, na ile fałszywy. Ale niebawem posiadli klucz pewny do swojej dręczącej niepewności — nic więcej, jak to, że „habitus est altera natura“.

Natura ciągnie wilka do lasu — więc i jego ciągnęła — do kłamstwa. Tyczyłoby się to zwyczajnej zamiany nazwisk i numerów, placów i ulic, teatrów i roz-

rywek (domowa atmosfera nie służyła mu) — i tam przestawiał i przekręcał. Zresztą milczał.

A jednak, a jednak, mimo podobnego usposobienia, niezbędności kłamstwa — zdawałoby się, coś go ścisnęło za gardło ilekroć chciał prawdę wydobyć z siebie — tak, brakowało tym kłamstwom jego, rzekłbym życia, barwności, rzekłbym wewnętrznej mocy twórczej, takie to wychodziło z niego blade, banalne niemal zbyte, co tłumaczy poniekąd dlaczego razity ich tak i rzucały się, narzucały w oczy.

Powtarzał każdemu znane dziecinne wybiegi i kłamstewka, albo płodził rażące w swojej nedorzeczności kombinacje, lub też zaciął się na jednym i choćby mu je wykazano, jak dwa razy dwa — cztery, z uporem aż do znudzenia będzie powtarzał w kółko jedno.

A jeżeli i nie zbędzie ogólnikiem i nie przeistoczy faktu, to przesadzi w wyrazie.—Ustawicznie niezgrabnie, niezręcznie, niedoszle — bez polotu.

Wymawiano mu, upominano go i żeby przekonać go o całej nieskuteczności tego, że na nic zdadzą się wykręty — dawano mu odczuć, iż wiedzą o każdym kroku, wystąpieniu jego, gdzie był, co robił, czy mówił gdzie, czy tyle a tyle opuścił lekcyi w zakładzie, że włóczy się po mieście, że go widziano tam i tam, z tym a tym, tak i tak, to a to — o wszystkim dokładnie byli poinformowani.

I wiedział. Aż sam wreszcie zachodził w głowę, skąd to się bierze u niego, przyrzekał poprawę — i nie mógł. Męczył się i mordował — i nie mógł. Gryźli się i mordowali — a nie mogli, i, pomimo oczywistej na to niemożebności, wciąż poprawiali niepoprawnego.

Łakomy był. Więc znosił do domu różne smakołyki — karmelki, pastylki, czekoladki kryjąc się z tem,

jak kot, co już otrzymał kęsek i w kącie odchodzi, by mu nikt w raczeniu się nie przeszkodził.

I znowuż była w tem ni to nieogłębność, ni to nieopatrzenie. Tam wetknie, tu zasadzi do kieszeni — a kieszeń się oddyma, tam złoży za kant łóżka, gdzie nie widzieć by mogli niewidzący. Albo też zajada — prosto, gdy się ktoś odwróci mu, a torebki wyrzuca prosto do kominka, gdyż... pomocne są przy rozpalaniu ognia.

Pozór jest, lecz treści, nie — konsekwencji niema.

Czy też: lubiał do późna siadywać i czytywać, i miewał z racyi owej częste rewizye i kolizye. Słyszy, że ktoś nachodzi go — i łóżko skrzypi i podłoga trzeszczy, a myśli: zgasić czy nie zgasić? — lub złość go weźmie — i nie zgasi, a świecę zdmuchną mu przed nosem.

Głodu, zdawać by się mogło — nie doznawał nigdy, a jednak skradał się, nie inaczej, nie o właściwej porze do kredensu po bułkę, zaś schwytyany na kradzieży niechętnie coś odburknie i szedł sobie.

Wracając później, późno, musiał zawsze kogoś turbować — po dziewiątej z domowych kogoś, gdyż spracowana służba spała, przed i po dwunastej to już i ją zrywał ze snu, pukając przez cichość do okienka. A chociaż mu nie dano osobnego klucza, bo by opryszkom łatwiej przyszło przez pustą dziurkę od klucza klucz wsadzić — nie zmienił raz przyjętego trybu, mimo, że szedł z drżeniem serca, czy też spią czy nie spią jeszcze? — i zżymał się przed ciemnymi oknami, a swoje robił, czyli, nie kłamiąc czynnie, wynosił się, mając dom w zupełnej niewiedzy swego powrotu.

A gdy po niepewnym czasie budziły się w nim skrupuły, żeby jeden wieczór spędzić u domowego ogniska, a iść jednak trzeba było, obstawiał taką to paradą, że niby go zabierają z domu, gdyż jest gdzieś potrzebny, a i tamto pożyteczne dla niego.

Po nocy lufcikami się wymykał, zamiast w dzień  
przez drzwi. Gdy został przyłapany na tem miasto złożyć  
broń do drugiego luftu się rzucał, a potem osierdział  
i z chmurnem czołem stapał szpalerem ze swiec, koszul  
nocnych i spodni.

I czem nie kłamało ono domowi temu.

I tytuł tego jest : parodya.

## SAMOBÓJCA.

Kłamstwem! na ducha jasną słoneczną koronę  
przez bryłę prochu-gliny nie zmazaną onę —  
nie przeto, iż go w mroki chłonie a w czeluście  
i zmóc nie może, ale żem na dusz odpuście...  
powszechnym... Przebóg! sobie nie jednanie zyskał,  
nie przebaczenie, lecz ten Święty, ten... mnie... fiskał  
falowań myśli tajnych podpatrzył, wyszydził,  
i jeszcze pianę wzgardy, klątw na mnie ciskał —  
klątwę — ów ząb i gruczoł węzowej arcydzieł  
przewrotności i złości Jego, co Go strzegą,  
— przed której skorpionem same truchną, bledną...  
Abym rozczwartowany we trzy skutę — jedną  
czwartą wciąż dążył, pragnął — borykał i wił się!  
Ta czwarta ssawką, o! krwio-gąbką jest ropiącą,  
co się w próżnię wyciska, zdradą — nie obrońcą!...  
Cicho me serce, cicho! nie daj skardze ni łzie  
żrącej ani zakrzepłej żadnej rdzy zestrupieć  
na stali hartu twojej --- boć raną ci będzie  
śmiertelną, co to pod nią trup rozkłada siny.  
Cicho, serce, cich-o-o! Przecz w strzępy i rupieć  
chcesz zszargać moc?! — On czyha, On czyha na czyny,  
podżega cię! — A tyś Mu powolne narzędzie,  
własnej zraty mieczem? — Cicho, cicho serce!...  
Niech moc twa będzie jako wino najwystalsze —  
czem się ustoi w sobie — tęższe, doskonalsze.  
Nie wolno kropli jednej w dusznej zużyć skierce  
przed czasem tobie, byś—nie bijące w lęk piskłę,  
lecz jako orlą szpon się wykłuł, gdy wzrok przyśkłę,  
—na Zmartwychwstanie twe, Zwycięstwo twe!

Życie moje! — Kłamstwem, o! kłamstwem wszetecznem,  
iż mnie śmierć na ciemństwo wydała i męki!  
Śmierć na alarm uderzy z ciemństwa i męki!...  
K' tobie prę, Gwiazdo Morza, tęsknot szlakiem mlecznym.

Zamknięto żyć mnie!... Po pas zanurzony w wodę  
stoję, pachnie — wieczyście drzewo życia młode;  
— a żary wyschłe liżą ognistym językiem  
zczerniałe wargi moje, jątrzącemi brzegi  
trzaskają w każdej linii, przepalają ściegi —  
ledwom z tej opadł skóry, pęka druga z — krzykiem!...  
To drzewo żyje! — ciągłość je prowadzi duszy,  
co sine z liścia kusi kurcze mych katuszy!...  
Soków, owoców tyle! — Jako zaczajone  
łakome żądze „chcę“ kochanki mej wytrawnej  
chylą na ramię mi swe w złotą woń oprawne  
głowy rozmarzeń ciężkie; — ważę, pieścę w dłoni,  
gdy, jak kochanka, w niebo ucieka — i tonę!  
Och! oddajcie, oddajcie mi je — wy, ty, oni,  
— oddajcie — krzyczy, ryczy część wżdy mej agonii!  
Nerw każdy maca, krwawi, drga po części swojej!  
Biada! — Zwierzodrzew srogi pięciornym haczykiem  
wybiera moje łono! — Evoe, evoe!  
Ha, ha! czas dymi ile! — w opętaniu dzikiem  
skaczę, tarzam się, wyję! — Każda zwierza juszy,  
Krwawą żga płachtą w oczy mych byka katuszy!

Życie moje! — Kłamstwem jest, o kłamstwem wsze-  
[tecznem,  
iż mnie śmierć na ciemństwo wydała i męki; —  
Śmierć na alarm uderzy z ciemństwa i męki!  
Ku tobie, ma, żegluję tęsknic szlakiem mlecznym...  
Śmierć na alarm uderzy z ciemństwa i męki,  
a życie ciągiem, jednym tchem ciemństwa męki!

Wzrok myli, możesz być?! o, wszystko, wszystko

[utaj

— precz! żrenico otwarta!... Zgiń, przepadnij maro!...

...Cóż było?... — za ręce się wzięli — idą tutaj!...

przez jasne łąki idą, idą prosto tutaj!...

Usiedli, gwarzą — on jej wieńce splata .. Karo,  
okrutna karo! — z tych, z tych gron i kwieciami!... Czoło

zdobi, do ust podaje... Jedzą — same idą  
do rąk... Męka nieludzka! — Czarne pryśnij koło!

Kacie stój! Odkupieniem klnę się-ć i Kolchidą,  
stój, stój! na sępy krwawe, na cień Prometeja!...

Trząś, krzyczę, trząś, trząś! aż się straszną strzęsie bięda  
na głowy, w żyły — serca wasze! Kwiat szaleja,

jad, cykuta — nie sen wam powieki skleja!

jad, trucizna — gad, gad, gad!... resztek sił dobywam

i chrypię, rzeżę — świszczę, rzeżę — on nie słyszy!...

mnie... ni wam... klnę i zlorzeczę — on raje słyszy!...

Jam burzę głosu skłócił, głos piętrzę wezbrany,

burz broczących ochłapy z mych wnętrzy odrywam,

przed siebie miotam! wichry, burze, huragany

— bólu szatany! — On nie słucha jeno ciszy...

O podły rabie! jak się wystugujesz Pany!

Służko nędzny!... Lecz nie! tyś nie jest niewolnikiem,

— kółkiem, przypadku puchem jesteś — nie wynikiem,

pusty żwir żółty, co choć skaleczy, zabije —

pustynią nie jest, — ani Potworności Skrętem!...

I patrzę, patrzę znów! w ramiona wciskam szyję,

w siebie uciekłem cały,— wgnieść, zmarnieć ze szczętem!

O! że też wiecznie muszę trwać na tortur warcie,

na nieznużonem, wiecznem czuwaniu rozpięty!...

Że też nie wydrę ócz, gdzie dążą nieprzeparcie!...

Trzy fale płyną w dal — jaśniające, modre, złote,



-- fal wonnych trzy -- wód, nieba, kłosów -- w bań  
[Pierottel]

A na tych falach fale dwie, jak świtów w morzu,  
— bieleją dwoje, ramię przy ramieniu gonią.  
A wszystkie razem drgają, łkają na przestworzu  
i modre łuski skrzące, srebrne śmiechy dzwonią.

Pian perłowych, ciał-lila lśnią śnieżyste puchy;

z pod lekkich, gibkich, świeżych w przekornej swywoli,  
wiośnianych wyrzucane dłoni wód łopuchy  
wystrzępione pękają w krople rozmaite,  
łowią... Przygasły tęcze!... czerń się rozokoli  
puchów! — z rzęs, puchów wargi spijają niesyte!

Kropki, łzy jednej, o, krople upiory, krwi mej  
wciąż głodne, głodne!... Jak błaski przykre!... Błyskawic,  
deszcz mieczów pluszcze, kraje te szyby źródlane,  
żrenice moje! — ziemi żrenice rodzimej;  
próżno się bronią, wężą, na serca się kryją  
ławic, pod słonecznemi płaszczą razy zziarne,  
— gad nadeptany — mienia postacią przeróżną,  
paciorki rozsypują i gwiazdy ze mgławic,  
białą trysną jałmużną-lilią... napróżno!...

— Jak błaski krzyczą, kłują! Spóźnionej przy słońcu  
gdyby gaz świecy białej, lekkie korowody  
drzeń, gdy taneczne zmacą prądy ciche wody,  
strugą powietrze płynie, ćmi się na gorącu!

Łaknę .. Nie żeby stopy swe, skronie swe skrapiać,  
nie język nawet zwilżyć szorstki, skaleczały,  
język jaszczurczy; ani dotyku czuć kały  
rozkoszą zmyte, nią żyć i w niej się zatapiać;

—ani jak eukalyptus chory i odarty,  
czcze wypuścić korzenie, jak ze smyczy charty —  
niech mi soki wytropią pożywne — kryniczne,  
żywiczną piją krew — do rąk, do ust podają,  
w całym roznoszą ciele krwi fale żywiczne;  
ni też jak płotka na hak schwytana rozwierać  
pyszczki kory złowróbną nadzierzganę Mają,  
stać się — zraszać, wsiąkać, pić, pić — i nie umierać!  
— tylko zaczerpnąć w płuca tchnienie nieskończone,  
ciche, co to nim słońce powłóczy omdlone  
na widziadlane chłodne lustra rozemglone,  
ale wilgoć rzeźwiącą, — błogą — wołam, płonę!...  
Rosą żyć jedną będę, jak ptacy szczęśliwie,  
powietrzem jednym — więcej nie żądam ni żywić!

Łaknę!... chcę wściekły chłostać, trzaskać, kruszyć fale!  
i kruszę, smagam, łamię, rwę zapamiętałe!...  
Oto służalcze, karne wyginają grzbiety,  
skomlą... Darmo! — rwać, szarpać was będę w kawały,  
jak psów bić będę, jak psów! — zły, zapamiętały!...

...Okropne!... Grób się rozpękt podemną — szkielety!  
Piany, jak szkielety!... — Jak szklane dudnią dzwony...  
i mokre zwało wieko!... tak, mokre — tak — dla nich,  
dla ich radości, chwały i boleści tanich!  
Jak szłocha dzwon nad tym, co żywcem pogrzebiony...  
Musiałem wiedzieć to!... Jak szklane płyną dzwony —  
i biją, biją zgony... szklane biją dzwony...

Musiałem wiedzieć, iż'em jest jak trędowny,  
że też mnie zwierz, czy kwiat, czy człowiek, kto żyw,  
[stroni;  
czym się chciał zszerzyć z nimi, jak z siostry i z braty —  
alem samotny uczuł jasne: trędowny!

jasne i prędkie jak wąż błyskawicy i jak  
wąż też ślini; czy co ją Ananke poroni,  
łzawą kładąc nadzieję w żałobny spowijak,  
łamię! obdzielam serce — monstrancjum w glorii,  
mój puhar szczerozłoty między braty, siostry,  
— a serce na ząb kładą ostry, lodowaty...

Musiałem wiedzieć! — Jakoż mi korzeń cykoryi  
zaprawiono w pragnienie, do uczyty we świetcie,  
kiedym je pragnął ciągnąć mocne jako mokka!

Tknę — a zdepcę?!... — Schylę, a wnet z wichrem się  
[miecie,  
szarpie, gna z rozszerzonej przerażeniem toni  
na tęczówce — kwiat, sarna gna niewinnooka!

Miał-żem mniemać, jako mi żywioły łaskawsze  
będą — i te, co to cień katuja, toń w toni,  
miałyżby nie gnać precz, giąć i nie urać jeszcze?...  
te, co noc i cień, rosę mordują i deszcze,  
miałyżby mnie nie wykląć precz, nie urać — zawszel!

Spójrzenia łkam! — Niech mi załopoce, ocieni  
rutą rzęsną i szrony z piór zbierze anielich —  
zawisnę nań, jak na wilgotnych ustach kielich  
dyszący, koralowy — wychylonej życia  
pełni; — jak na wiszarze, kędy się rozpieni  
na opoce błękitnej duszy morze, zwełni;  
zawisnę — i zwisnę by sztylet z pod okrycia  
czerwonego!...—lecz przywdziać blask cichych strumieni..

Na to spojrzenie biegnę — wyglądam jak łaski!  
ha! nie widzą, nie widzą! choćem wszystkie blaski  
wessał, skupił na żar, na zgłiszcza mego ciała!

w pierś przeszedł, mózg i trzewa — i spopiełał, nie chcą  
widzieć!..— O piorun, nie płacz wyrzucić! a —zechcą!  
ale wam z głowy wydrzeć, o co dusza łkała!

Ażeście łaknącego mnie nie nasycili,  
ażeście spragnionego łzą nie napoili,  
ani odzieli, ani obmyli, bom ci jest  
mdły i nagi i krwawy i kurzem zrudziały,  
łachmanny jak liść lata i jesieni w skały;  
ażeście nigdy do mnie nie wyszli przed wyjazd  
skwitły we złoto, w zieleń i biel szlamowany,  
kędym się wicherzył w prochu i błocie zbrukany —  
ażeście mnie z wicherzycy i prochu nie brali,  
ani na wilię kładli, ni włos rozczesali,  
— aleście ogień i klin na rany me kładli,  
aleście zawdy moc moją szczuli — rozkradli,  
aleście w oku mojem swój kieł obracali;  
— ażem umęczon od was i zelżon zaciekle,  
ażem pomiędzy łotry podniesion — i w piekle!  
i że mi serce próchno porze — bądźcie przekle..!

Klątwa? Cóż klątwa?! — klątwa — to miecz rzymianina,  
gdy na się wzbija! — Klątwa to ból Ugolina —  
własne dziatki pożera swe! Klątwa — to miraż  
obłąkany na ziemi i w niebie odbity!  
Klątwa — miotłą ognistą, którą w przyszłość ścierasz,  
i rychłej żagwią pomsty — zminowane szczyty,  
i kłęską bogów! — Klątwa mem słońcem nieżywym,  
czarnem, zapiekłem krwią mą i płomieniem krzywym!

A zaś śmierć przyzwałem... Zacz żal mi mej

krwawicy?...

— Pokój wam niosę — tobie, twej oblubienicy.

— Oduście! jako ja żalu do was nie chowam.

Wieczór!... I jużście mi nie duszne wydzierce,  
ale najdroższych skarbów i snów spadkobierce!  
..Liść, gałązkam oliwna i głowa cierniowam,  
— pokój wam niosę—tobie, twej oblubienicy.

Zmierzcham w skon... Od wód i mych pragnień próżnicy  
wstają przejrzyste cienie, mary, leń, opary.

Dusza rozchyła mi się w kwiat dziecinnolicy,  
idzie na łąki i rozłąki, krze, moczary,  
— aż na jej niedokrzwisty, drżący kwiat przeczysty  
rosa wystąpi balsamiczna — perli, skrzy się,  
i na kwiat dyamentuje — skrzący, płomienisty.

Kwiat rozmaryny, głusze, śni krzyże cyprysie,  
dale, przedziwne jakieś przemienienia, trwania,  
co mi echową duszę całą w dźwięk roztrwania:  
blady, omdlały jestem, ogniem owionięty;  
blady, piekielne rzeczy rzucający, święty!...

Ale mi wara od was! — Uprawiać pustelnię  
dano mi... Niech więc — mi ognie piekielnie  
grają! — niech więc samotny, smętny —wniebowzięty,  
sam skonam w zmierzch, skrawa skra między młot  
[i kielnię!

O! czyż w swej nie ustane nigdy pracy żmudnej  
czuć, ubijać w krąg miejsce rozpaczy obłudnej  
pod plac... — Znużony jestem i smutny śmiertelnie...

samotny, smętny, czyż sam konam na tej ziemi.

Tylko pod męką pamięć drga pochyłą, że mi  
z Archaniołem Edemu być — tak strasznie było...



...Bądźcie przeklą..? O nie! ja błogosławię tobie,  
błogosławię ci, życie, na ziejącym grobie.  
Maj, święć się, święć się, święć się na kwitnym grobie,  
— mym grobie!... Słyszysz, życie?—błogosławię tobie!  
Pożywajcie próżni ciemństwa i męki,  
choć życie moje jednym tchem ciemństwa, męki,  
ulewnym dżdżem siarczanym — dżdżem ciemństwa,  
[męki!...

Możem rozhartować?! Lecz Ty, Ty drzyj w niebiosach!  
Ha! — Chciałżeś wsparzy na granitowych kolosach  
tęczę kirów zasutą, ze skrzydłem na wschodzie  
i zachodzie, i z czołem, które tucze bodzie,  
w splot okropny lec u granitowej podstawy?...  
Chciałżeś słońce zawrócić z orbity strzaskanej —  
chciałżeś zatrzymać świata zegar wiekuisty,  
wiekuistemu łożu czasu kłaść zastawy?  
I z życia drzew przepędzać jasne duchów rany,  
pęd nowy gnać na świeże bezcielesne blizny?...  
— Ha! drzyj! — Otom już odwiódl igłę, zrywam tamy,  
oto rozbiłem szersze biegi, słońc odłamy  
zesklepiłem i puszczam je w okrężne męta.  
Oto sam idę, kruszę, łamię — dławię pęta, —  
by—rozdarłszy wieczność, gdzieś za wieczności progiem  
stanąć znów oko w oko, grom w grom z Tobą —  
[Bogiem!...

WIOŚNIE

POETA.

## ZMARTWYCHWSTANIA.

I. Samowstręt. I było mi jakbym swą własną widział  
rękę, nie utlenioną, złotawą senną różowiącą, ale w oślepty zbrzękłą klosz, wierzch pergaminowej czaszki nagiej — na wiwiskcyjnym rozciągniętą stole;

jakby nie płynną lampę krwi, lecz gwiazdę zwłókniałą wypruwał mi skalpel asystenta;

i było mi, jakby ktoś mleczny pryszcz wydusił na mą duszę oszkłałą — maskara...

To z pod spęczniałych rozlazłych płatów, cegieł wywinął się u stóp mi cienki lepki wężyk, walając twarz i suknie — cienki lepki wężyk.

II. Beznadziejny. A jam... głucho przeciągłe przewalają się wieki za skalną krawędź nieboskłonu, odkąd po mojej błądzę lubej, umiłowanej a dalekiej — tak dawno już, tak dawno:

— od mych zwrotników i paproci, od jaskiniowych lwów, od sinych morren i lodowców — od tej nieustannej jednej epoki lodowej.

z bezmyślną tępą włokłem się głową — tak długo już, tak dawno.

nie uważałem, jak cienie zewsząd jeły zachodzić mi drogę, rosnać i zgęszczać wokoło — w orszaku pogrzebowym postępuję — na marach ciało niosą...

za karawanem kroczę — i ciałem mej nadziei.

wtem w ciżbie stłumiony przejdzie szept: wiosna,  
wiosna,

Na równem się porwał nogi. — Na Boga! wszak  
to ją chowają, najserdeczniejszą moją! — wpadam na  
tłum, przypadłem do zastygłej dłoni — porwałem, trzęsę,  
o twarde tłukę czoło krańce, ogromnym płonę głosem,  
wtopiony w pałające oko słońca: wstań, wstań, wstań!...

drgnął całun biały, z letargu ocyka się... śmierć!

Kłamałaś obłudnico! kłamałaś nieśmiertelność, kła-  
małaś zieleń twą! — wydały ciebie, zczerniały płamy  
puscia, gadzinę-m odegrzał, glisty lęszesz — w kanały  
miejskie wtłoczono twego trupa.

III. Z powrotem. I oszalały trupogwałca po ocieka-  
jącej szukam twarzy, do rozchlu-  
śniętej cisnę piersi, piersi szukam — nie ma piersi!

w skamienieniu nerwowo takt wybija palec ścیا-  
gnięty wskazujący — o zeschłe puste deko, o czerń  
dwu płaskich kręgów piersi wypaliska.

i kajam się i walę łbem, co się rozsadza — roz-  
sadzić się nie może, bolem opity i obłądy — po ska-  
stratowanej.

Przebaczenia! przebaczenia jęczę—Cecylia święta!

Ledwoś swe pierwsze wzięta skowronkowe struny,  
przyłuszczki pierwsze — już cię schwytali, z powrotem  
w rozdartą wepchnięto krtań, z odrętwiałych wypadły  
dłoni, — na dyby oprawce powlekli;

— na odwilżego mamuta obnażonem mięsie ucz-  
tują wilki syberyjskie, zatapiają się kły rozżarzone i  
kleszcze — i ścięły.

— piersi, daj mi piersi! — żalę się i tulę.



IV. Na głębinach. Wychylić, wymknąć się z siebie,  
w lot uderzyć sokoli na chmury  
i lawiny!

Wylecę duchem na śnieżne polany, zasy — ala-  
bastrowe mauzoleje, co nowem życiem biją i mnogim  
rzekom życie dają — i wrócić ci je! śniegi — piersi  
twoje.

na zatrute je wetknęli dzidy dzicy losów wojo-  
wnicy, serdecznem winem spływają, opływają tęsknoty  
moje i rojenia.

wylecę duchem na orne pola i ugory, sobotnią  
leczę górą po wodę żywych i umarłych — po zapo-  
mnienie albo życie.

i wracam z pól zwietrzałych, łąk zmokrzałych,  
gór ześniedziałych — z niczem.

— — — — —

Więc się ześrodkowuję, dźwigam, sposobię w so-  
bie i w ciszy, co z tchem zapartym czeka, białą ulewą  
zaczął spadać atom jeden, drugi, trzeci — w zwyż  
i w dół się snują lecą gołębiane piórka, pierze — mdłe  
duszyczki w niewidzialnych wichrów zawierusze, za-  
snuły widnokręgi.

A w chmurze tej i z płatków, sznurów tych, nie  
swe szpetoty skrywam, ale dorabiam braki, pustki tej,  
którą-m ukochał nadewszystko.

choćż występna, skazitelna, przedaźna i publiczna.  
z kryształów — płatków owych prędsze jaśniejsze  
odleję fale na łonie,

i sznury chwycę owe i rozkołyszę w wielki dzwon,  
aż pęknie i odsłoni serce — serce dzwonu.

i chwycę tej zasłony, rozprzęgę te welony i sta-

nie w aureoli różanych zorzy ust, różanych zorzy całowań — posąg bijący, lilijowy.

i światu pokażę ją ponownie w bieli odzyskanej, w białości swej — niepokalanej.

giną, ledwo zachwycą ziemi — giną, czy kamienia, piętą, obcasem rozcierane w nader rzadkie błotko. Giną? — niech giną, niech ciężkie grube lecą łzy, pieką wypłukują, toczą się i skaczą na kamieniu — odkupienia łzy.

V. Odrodzenie. Że bo nie z niskich progów, hej, strojnych w cierń przełazów, grodów i pałaców, ani ulicą — het, przyplotami mi idzie wybawienie.

bo już przejąłem w pierś czujną pierwsze odczucie,

a idzie mi i z chat i z ulic i powietrza, ani też z chat i z ulic i z powietrza ale go czuję w sobie.

Jak włosy Weroniki radosne rozścielałam, niecę wici: ałem z dalekich niósł wędrówek, z bajecznych przywiózł krajów na Złotogrzywku i z Cud-Dziewoi dopomocą wieść cudną wielce — i dobrej słucham rady:

że mi rozpaść spiesznie trzeba, rozpłomienić stos wielki, stos kościelny, gdyż z dymu i płomienia wystrzela pęk ognisty.

w obfitujący sad świąteczny, odświętne darnie i haszcze kwiciste — rozrzuci się, rozpadnie i rozplemi.

że mi sad podciąć przyjdzie, zebrać popioły i pochować —

i wciąż jak feniks się odstawać, i ciągle burzyć, odwoływać — zaprzeczać, przekonywać.

Bo już z larwy rozpadłej, zczerniałej leciuchno  
wschodzi duch i w niebieskawą gazę zwiewną się ro-  
zwija.

bo to mi z cicha odetchnęła i przechyla, w zwol-  
nione wnika łono wiew — dziewicy wznosi, rzeźwi,  
żywi pierś.

i złote mruży oczy i przymyka — w świetlistych  
wycutych włosów rzęs roztopie, świetlistych w audy-  
encyi tchnień,

brzmień, tchnień, lśnień mieniącym kole,  
co się cisną, dopraszają do tej jasnej, do tej czystej.

i już lekka wesoła rozgląda się po świecie,  
i już zalotna i wesoła zabiega wokoło mnie, i patrzy  
i zagląda w oczy, abym jej swą odkrył duszę,

i muska włoski z czoła, rozpogadza — rozgarnia  
i ogrzewa.

przybiegła lekka, zwinna i na kolana siadła mi.

głaska, dopytuje — och! pieści, kocha i całuje...

i już przewiewa ponademną, nęci, wabi, kusi —  
ze sobą woła.

— i już kręgowym wschodzę wzlotem, wędrow-  
nym lotem nad operlone echa, gaje, nad pochylone ru-  
czaje, uciekające nasze i powłóczystych szat odbicia  
— uciekające rozprysnięte;

— i płynę, płynę — roztopiając chmurki na błę-  
kicie, siebie i ją — wiosnę...

Καθαρισ.

## ŚMIECH.

— I śmieję się, falą swobodną śmieję się. Śmiałem się, lecz ani tym głośnym śmiechem gardlanym, ani tym lekkim, swobodnym, ani przyduszonym — swobodnym, wolnym, ani tym co wstanie i urwie się — nie spazmowałem, nie jest mój własny, ani mi narzucony —

śmiech ani bierze mnie, ani się ze mnie dobywa, nie krąży koło mnie, ani zadowolony z siebie, ani gorzki — śmieję się sobie, ani wzbiera, ni ubiera, ani huczy — śmieję się sobie, ani opada, ani się podnosi, ani świąty otwarza, ani idzie na spotkanie, ani falą się przezemnie przelewa, co idzie z krańców i dalej się poniesie, ani mnie bierze w posiadanie — ja jego, każdy z osobna, śmiejemy się oba!

może zasmucony jest różowy śmieszek, — śmiech niesłychany, co wszystko przenika, we wszystko wnika, wszystko ogarnia, idzie przez świat niedostrzeżony, śmiech ze łąką, najczystsza emanacja — fałuje ze wszystkich bólów, radości, smętków, mąk — wznoszeń się i upadków — i ich treść najwyższa, jednocząca i fałuje eteryczna przez przestwór — to jak eter — pierwobyt i pierwiastek skąd się wszystkie rozwinęły, — niemi pajęczyny płynie w górze i zawiesza się na trawy i kierz, — śmiech krystaliczny, śmiech źródłany, śmiech empiryczny — wszystkie tony w sobie łągodzi, godzi spadki i przeciwieństwa i łączy i mieści i umieszcza, to krew co roznosi i osadza soki w or-

ganizmie, to sok kwietny, to półmrok, półcień, to jaśnienie,

śmiech wonny, śmiech ożywczy, pachnie żywicą — a ton nieuchwytny przelotny — eter ulotny —  
przenajczystszy i przenajświętszy, śmiech jak sakrament krwi i ciała, śmiech wiośniany, śmiech doskonały — śmiech jedyny!

Kres wszystkiemu, to życie umieszczone we wszystkich jego przejawach i zjawach!

śmiech boski! i zwierząt i ludzi i łądów i mórz i roślin — rośnie.

wytkany z tkanek — zapachów świeżych ciał kolorowych — takim chciał!

Wydzieiły go, zostają sobą, udzielają sobie, całą ziemię sobą owinął, stanął nad ziemią i chwieje się i rozchwiewa, wieje i wieje na świat w nieustannym pochodzie barbarzyńskich hord — mord! humor! to wielki pochód plemion — i roztwarza w sobie, i stoi nad ziemią, co drzemie w południowej drzemce i nie czując i nie czuwając stwarza — śmiech najsubtelniejszy, śmiech najmiłszy, śmiech najśliczniejszy, efemeryczny unosi się. .

Śmiech arcy — śmiech arcy-kapłański, arcy ludzki, arcywzorowy, arcyśmieszny — śmiech!

śmiech organiczny, śmiech liliowy, śmiech niebieskawy, śmiech ulotny, płynny, śmiech Nibelungów i Jadźwingów, śmiech Nieświeży — śmiech jakiego nie ma na ziemi!

śmiech najcudowniejszy płynie bramą z kości słoniowej i z rogów zwierzęcych i skór i kości, ucieczka grzesznych, pocieszyciel strapionych, jak słoneczna po-

ziłota i pyłki krążące i jak dym komnaty i jak ogon  
komety na zydłu w znaku zodiaka. Śmiech wulkani-  
czny, śmiech siarczasty!

śmiech dziewiczy, śmiech nietknięty, śmiech za-  
płodniony, śmiech dziewiczo spłoniony, śmiech uroz-  
maicony, śmiech nadzmysłowy śmiech.

śmiech zabłąkany, śmiech sympatyczny, śmiech  
sceniczny — śmiech uniwersalny!

śmiech jak lew, śmiech wspaniały, śmiech jak  
lew wspaniały!

śmiech ogłupiały, śmiech poplątany, śmiech —  
pnąc.

Śmiech najpierwszy, śmiech ostatni, śmiech do-  
datni, śmiech ujmie, śmiech poda, śmiech odda, śmiech  
krwi przelanej, śmiech napróżny, śmiech ze łzami mie-  
szany, śmiech piołunny, śmiech piorunny!

śmiech—świat podda, śmiech macedoński.

śmiech przymusowy, śmiech serca, śmiech pękniętego  
na paciorki serca, śmiech paciorkowy — śmiech pozwo-  
lony, śmiech wyzwolony, śmiech we wszechświecie  
rozlany, śmiech zrastań, śmiech zórz, śmiech zbóż ko-  
łyszany, śmiech pokryjomy, śmiech utajony, śmiech wyr-  
wany, śmiech w ogniwa spojony, szept lip, szmer stru-  
mieni, gra świateł, gra burz, chychot szatański, śmiech  
piekielny, spodziewany, śmiech Bogu oddany, z czar-  
tem paktujący, układający się, śmiech brzydki jak grzech  
śmiertelny, śmiech życia, śmiech w zenicie!

śmiech koronkowy, śmiech — ksiądz, śmiech od tańca  
i różańca, śmiech pogańca, śmiech szkaplerzy Maryi  
panny! śmiech zachłańczy, śmiech bez słońca, śmiech

w marzenie wtrąca, śmiech — pieśń mrąca, śmiech —  
dech żywotny, śmiech moc i siła, śmiech Mocy, śmiech  
Tronów, śmiech księstw, śmiech Serafiów, śmiech ba-  
ronów, grafów, śmiech baranów, jeleni śmiech — paź-  
dzierzy śmiech, śmiech z wieży.

śmiech kategorii trzech, śmiech jedności i wła-  
sności, śmiech krytyczny, śmiech nowożytny, śmiechu  
starożytny!

śmiech konieczny, śmiech grzeczny, śmiech ja-  
błeczny, sok jabłeczny, sok brzoźowy, śmiech wiśni-  
owy, śmiech jubileuszowy, śmiech wieku, śmiech dzieł,  
śmiech ojców, dziątek, pradziadków i dziadków do  
orzechów łuskania grzechów — śmiech córek, śmiech  
wywiórek.

śmiech gwiazdzisty pyły mlecznych dróg zatlily,  
śmiech rozkoszy, śmiech rokoszy, śmiech, jak trawa  
skoszon,

śmiech niezmożony, śmiech proporce, śmiech  
w proporcji nienaturalnej.

śmiech powalany, śmiech oczyszczony, śmiech  
dziuryt, śmiech Charyt i Faunów, śmiech dyonizyjski,  
śmiech jawnogrzesznicy, śmiech matki bolesnej, rzeź  
betleemska, śmiech łotrowski.

śmiech myli, śmiech barcaroli, śmiech nawraca-  
jący, śmiech nowy, śmiech a śmiech, śmiech uspił,  
śmiech poważny, śmiech skwapliwy, śmiech—śmiech.

śmiech jest, śmiech zakłócony, śmiech przekłuty  
w łono brzemienne, śmiech wojenny, śmiech zwy-  
cięski!

śmiech przepołowiony, śmiech nieobliczony, śmiech nieobmyślany, śmiech zapobiegliwy.

Śmiech odrodzeń, śmiech wyrodzeń, śmiech wyzwolin, zwolin śmiech, śmiech sypialni, śmiech państwa młodych, — śmiech państw, śmiech tronów — śmiech litaurów, laurów...

śmiech przewrotowy, śmiech przewrotny, śmiech utracony, śmiech niezaprzeczonej wartości, śmiech procesy w śmiech, śmiech nieporównany, śmiech niepodzielony, śmiech urwany, śmiech nieskończony śmiech.



## ROZMÓWKI.

### I.

*(Stoi pochylony za krzesłem, tak, że gorącym tchnieniem słów owiewa siedzącą pannę)*

— Truchleję przed mocą twoją pani, co ludzi zamieniasz w aniołów!

*(ta w półodwrócona — drwiąco)*

— Odkrywasz pan we mnie przymioty, których istnienia dotąd nie podejrzewałam w sobie.

— Słowa te utrwalają mnie w powyższem przypuszczeniu. Ta prostota gołębia, co nie wie, nie przeczuwa całej doniosłości swych czynów, ta zasługa, co nie przypuszcza, iż jest zasługą — jest to niewątpliwa oznaka wielkich, wywyższonych, jaknajmniej wywyższających się, wielkich w swej cichości serc.

— Jakież to są czyny moje, o których nie wiem, jakie zasługi, jakich nie przeczuwam?

— A jednak musiałaś zasłużyć się przed Panem, skoro w nieskończonej dobroci swej postawił mnie aniołem przy boku twoim, pani.

*(ona)*

— O cześć tobie panie! przywracasz pan złoty wiek na ziemię. Odtąd każdy — lokaj, co usługuje za krzesłem pańskim, może się podawać za anioła?

*(on — walcząc)*

— O pani!... Jakże wielką jest *(zbliżając głosy)* skromność twoja, gdy drugich usiłuje zrobić nieskromnymi. Nie ja, nie ja, jak to chce mieć skromność

twoja, ale ona to w anielstwie pragnie zrównać stany  
w jeden błogosławiony.

*(z rosnącym współczuciem ciągnie dalej)*

Ach, widzę — niema tutaj zupełnego szczęścia.  
Cnota, i ta ciężyć zaczyna pani, że usiłujesz dzielić  
się nią z innymi.

— O truchleję przed tą mocą twoją, co jest tak  
wielką, że aż rozpiera ciebie, pani, i częstotliwie, raz  
na miesiąc czy więcej, tak jak dziś naprzykład —

*(ona wyprostowuje się dumnie, oburzona mie-  
rzy go pogardliwym wzrokiem, ale spotkawszy  
zuchwale szydercze spojrzenie, którem zda się  
wdzierać do niej, ogołacać — oblewa się pur-  
purą i drżącym, niepewnym głosem, co dziw-  
nym dźwiękiem przerywa ciszę.)*

— Moc... truchleje — Bóg się rodzi, moc tru-  
chleje... wigilijny śpiew, — i to pan, pan nie mógł się  
zdobyć na coś nowego?

*(on — zmieniając także ton)*

— O jakże „na czasie“ przypomniała pani ten  
urywek

*(wtrącając)*

— Och ci grecy grecy, jakież fałszywe podają  
miejsca co do urodzenia Amora

*(wracając)*

— Tak, Bóg się rodzi, rodzi w sercach naszych...

*(nie może dokończyć rozpoczętej myśli, gdyż  
nagle mała rączka przykrywa mu usta)*

— Nie bluźnij pan, toż to pogaństwem trąci,  
nie bluźnij aniele przeciw panu swemu!

*(on)*

— A wiesz-że ty, co mi bluźnierstwem bluzgasz  
w oczy, wiesz że, kto mię posłał; wiesz że ty, iż stary  
zakon, zakon odwetu, oka za oko, ząb za ząb, już ustę-

puje przed jasnym Bogiem, miłości Bogiem, co mu służyć. I któż to mówi? — ta, która ma być przybytkiem pańskim, której usta wieściły już przyjście Jego. Wiedz łaska złała się na głowę twoją.

Anioł zwiastował pannie. Ja, archanioł Gabryel zwiastuję tobie, iż pan zamieszka w tobie. Czujesz że się gotową przyjąć Go?

— Ach, upadnę, nie udźwignę tego brzemienia szczęścia. Idź, idź szukaj sobie innej, bardziej godnej służyć świątnicą pańską. ale nie ja, nie — co tak słaba jestem.

— Śmiesz że sprzeciwiać się woli Boga twego?  
— Łaska pańska podtrzyma cię — zaufaj w Pana!

...Bądź wola twoja! otom służebnica pańska, oto z pokorą poddaję się wyrokowi Opatrzności. Ach, oświeć, oświeć mnie, abym godnie mogła wystąpić na przyjęcie Pana!

— Gorącą modlitwą, modlitwą pełną słów miłosnych słuź mu — miłością napełnij serce twoje — kochasz że?

*(ona, wznosząc oczy)*

— O tak, kocham ciebie, Panie mój jedyny — kocham i pragnę, namiętnej pieśzczoty po tobie pełna. W utęsknieniu wyciągam spragnione dłonie i wołam: przyjdź, przyjdź — i konam, konam!

*(on)*

— Oto zstępuje Pan do ciebie, oto go niosę na ustach swych, wesprzyj się na tem ramieniu i przyjmij Go z ust moich.

*(nachyla się, aby złożyć jej na ustach pocałunek, lecz ona nerwowo wyciągnąwszy dłonie przed siebie — odpycha go)*

— Nie, nie *(następnie opanowawszy się)*

— Szatan pokazał mi się i zmaćił myśli moje

i, (z *ironicznym uśmiechem*) i, niestety zachwiał wiarą moją. Jakież świadectwo dać możesz słowom twoim?

(*on — ledwo utrzymując się, aby nie zakłócić głośno, że mu się tak niespodzianie wywinęła, ostro i dobitnie*)

— Jakie? chcesz cudu, chcesz żebym czynem zaświadczył prawdę moją?

(*ona wątpiąco*)

— Chcę.

(*on*)

— Tchnę — a kwiecie rozsypię dokoła, dotknę a róże i lilje wykwitną pod mą dłoń.

— Chcesz? (*ona*) — Chcę!

(*wówczas, zanim zdołała się opamiętać, rozsuwa stanik i gorącemi wargami przywiera do piersi dziewczycy. Ona, targnąwszy się w pierwszej chwili, odrzuca się w tył bezwładnie*)

(*on słowami pieśni nad pieśniami Salomona*)

— Otom baranek, co pasie się między liliami, a oto róże szkarłatne (*całując w usta*). Wierzysz teraz? (*ta osuwając się mu w ramiona — słabo — szeptem*)  
— Wierzę!

## II. ARS MAGNIFICENTISSIMA.

(*łapie kota, co przesuwal się obok i wciąga go za uszy na kolana sobie, tamten miauczy żałośnie*)

— Panie, jak pan może tak męczyć biedne stworzenie! proszę puścić go!

(*on, nie zwracając najmniejszej uwagi — męczy kota w dalszym ciągu, ta urażona zamilka, lecz gdy pisk koci staje się coraz nieznośniejszy*)

*występuje w jego obronie, co wywołuje długą  
lecz bezskuteczną walkę)*

— Co? to i drugi kotek zaczyna mi ruszać się i pokazuje pazurki, a obciąć je! koteczku, o tak, tak— spokojnie siedzieć; gdy się obydwaj połączycie będzie to zawiele na moją jedną osobę.

*(raptem zrzuca z kolan odwojowanego kota  
i ztrzępuje sierć z odzienia)*

— a fe! paskudny jesteś! *(rzuciwszy z ukosa  
na nią)* O! o! jakie skierki sypią się z oka! — Ot, co to znaczy gładzić kotka przeciw sierści!

*(na wzmiankę o oczach ona opuszcza je w dół  
i zadraśnięta do żywego uporczywie milczy)*

— ale, ale... *(bierze ją za rękaw i próbuje go)*  
— to nietylko czarne koty mogą wydawać iskry.

*(ta targnąwszy się niecierpliwie)*

— Proszę puścić!

— Złościmy się już, a fe, jakże można tak nie dbać o swoją powierzchowność. Wszak ślepemu wiadomo, iż gniew piękności szkodzi.

*(ona tracąc panowanie nad sobą)*

— Co panu do tego, niech się pan nie wtrąca do nie swoich rzeczy.

— Co mnie do tego? *(wskazując na rękaw)*  
a że to nie moja rzecz, nie spieram się o to wcale, i nie roszczę do niej żadnych pretensyj.

*(niby od niechcenia)*

— No jeszcze by się tam miało chrapkę do tego, co pod... ale *(patrzy na ubranie)* do tego? *(stroji pogardliwy grymas; po krótkiej przerwie myśląco)*

— Hm, to jeszcze kwestya, czy jak to, tak i tamto *(obejmuje wzrokiem całą jej postać)* jest zupełnie samorodnie własne, możeby się pozatem dało widzieć jeszcze mamusię, tatusia

*(jej zaczynają kurczowo drgać usta. Tymczasem on zauważa parę włosków na sukni i wyskubuje je. Ona myśląc, że to znowu próba materji szarpiąc się)*

— Zostaw pan!

— O proszę się nie obawiać, nie żywię *(wskazuje na sukienkę)* żadnych złodziejskich zamiarów co do niej, *(niedbale)* zresztą nie lubię sięgać tak płytko.

*(ona ze łzami w głosie)*

— I czego pan się uczepił do mnie? Idź, idź pan sobie precz!

*(on jakby nie do niego mówiono)*

— O, o! jakie się chmurki zbierają na czole — lada chwili lunie rzęsy deszcz *(chucha na czoło)*, lecz oto wiaterek rozpędza je już *(a widząc, że się jej na dobre na płacz zbiera przyspiewuje)*. Nie płacz, nie płacz dziecię moje — czas utuli twoje łzy, twoje niepokoje.

*(ona przez łzy)*

— O kamień, nie serce w panu!

— Lód, lód! — a my jak widzimy, probujemy roztopić go gorącym potokiem łezek. Szczęść Boże — a może puści.

*(Ta kryjąc twarz w dłoniach wybiega z pokoju, on podąża za nią; utknęła głowę w poduszki i głośne zduszone łkanie podnosi pierś jej. On — stając przed nią)*

— Oto kwiatusek, co nigdy nie zwieądnie, bo gdy trafi na jaką oschłość, zaraz zrasza się obficie

*(ona rzewnie łkając)*

— I tu, i tu nie daje mi pan spokoju!

*(on w dalszym ciągu)*

— Lecz co zanadto — to nie dobrze, żadna roślina nie zdoła wyżyć w tak wilgotnej parnej atmo-

sferze, a cóż dopiero tak delikatna — tembardziej gdy się stawia takie groble, jak oto te rączki. O, ja zerwę tamy, nie pozwolę, aby wymókł tak wąty kwiatek

*(probuje oderwać ręce od twarzy, co się mu pomimo rozpaczliwe szamotanie jej, wreszcie udaje; więzi je w swych dłoniach. Ona siada wznosząc zatawione liczko)*

— Za co, za co tak się znęca pan nademną, co mu zawiniłam?

*(on szyderczo)*

— Dziwię się, jak to można po tylu zniewagach traktować jeszcze kogoś per pan—ty, trzeba mu rzucić ty — najunicestwiające ty w świecie!

*(ona z nagłym wybuchem)*

— O niech tak — niecierpię, nienawidzę ciebie!  
*(pada z powrotem na łóżko do poduszki zalewając się łzami; on podtrzymując ją)*

— Powiadają boleść łamie, i widzę już, że zgięła. O! w żaden sposób nie mogę dopuścić aby nastąpiło zupełne złamanie.

*(obejmuje ją w pól, ta zaś już tylko łka bezradnie, on patetycznie)*

--- Poduszka, znowu poduszka — jakże wielką u takich istot rolę odegrywa poduszka! w bezsenne noce dziewiczych marzeń — poduszka, w poduszkę chowa się główkę ciężką od natłoku nowych myśli, uczuć, zdarzeń, usteczka pełne pragnień namiętnych, poduszkę zlewa się łzami zawodów i niespełnień i niemożności, a w późniejszym czasie poduszka wiernie służy... wędziłem — krzyku bólu.

Doprawdy, zazdrość chwytła, że się nie jest poduszką. A że jestem człowiek rzutki, nie rozgraniczam tedy słowa od czynu.

*(przygarnia ją do siebie — ta w dziwnem, instynktownem dążeniu bezbronności czy też w wyczerpaniu płaczu kryje twarz mu na piersi. On, łagodnie odgartując włoski z czoła całuje ją, na co wybucha głośniejszym płaczem, jeszcze mocniej przyciskając się do swego dręczyciela. On tuląc ją do siebie żartobliwie)*

— Trzeba było zamiast dąsać się i rzucać odrazu z ufnością schronić się tu. Nie jest że to serce tak złe. *(obcałowując ją)* no dosyć już, dosyć.

*(ta łkając wciąż, uspokaja się powoli, nareszcie podniosłszy zalzwione źrenice z toczącymi się jeszcze łzami po policzkach)*

— Więc cóż, cóż to wszystko miało znaczyć? czego pan...

*(ale spostrzegłszy się u niego w ramionach, urywa i cała zaróżowiona chowa twarzyczkę z powrotem. On pieścąc włosy dłonią nachyla się i z wyrzutem serdecznie)*

— Więc i teraz, i teraz jeszcze pan?

*(po pewnej chwili słyszy w odpowiedzi cichy szept)*

— Więc jakże?

*(równie szeptem)*

— ty.

— ty?

*(następuje jakby wahanie)*

— O, jeżeli tak trudno nam samym zacząć, to ja dopomogę — dobrze?

*(niepewny przyzwalający szept — dobrze; obsypując ją pocałunkami.)*

— O złote, kochane dziewczę! — i ja miałem sumienie tak dręczyć ciebie!



— A więc czego... czegoś tak dręczył?

— O, to wszystko brzydkie książki winne —  
naczytałem się ongiś o ujarzmianiu stepowych mustan-  
gów...

— Niepocziwy jes... jesteś., znowu zaczynasz  
swoje.

*(on zamykając jej pocałunkiem usta)*

— i teraz trzeba czy nie trzeba praktykuję to  
na każdym miejscu. Ale my wyrzucimy, spalimy te  
niedobre książki, co nam tyle złego wyrządziły

— O, wyrzucimy, wyrzucimy!



## POZORY

### CZEŚĆ DRUGA.

O niewysłowione, niezgłębione moce!

O w marach mżących nocy płątami czarnemi,  
o w marach —  
ołowianą chmurą zimy  
urocznej duchów godziny  
w śnieżynek hebanowe puchy oblepionych,  
o w snach upalnych,  
wizjach upiornych  
objawione

— niezgłębione moce!

w wizjach upiornych, w snach nieukojnych,  
w marach północnych  
majaczałyście przedemną  
niezgłębione moce!

A skrzydła wampira  
roztoczyłyście przedemną,  
i w wir obłądny  
w taneczny golstrom św. Wita  
niemi krew moją smagałyście;  
a kuszyście mnie  
rozkoszmem roschyleniem roześmianych, rumianych  
swych warg rozognionych, ocienionych  
gdyby ciemnym lasem

zachodu krwistym odbłaskiem rozłuniony  
okular jeziora —  
puchem czerniejącym,  
sączących  
bezglóśne śpiewy syrenie.

O wargi puchem ciemnym ocienione! o wargi!

Jam odrodzon,  
ja pocynam życie od nowa —  
przez was — widokiem waszym.  
Sprawuję dzisiaj  
ponowne narodziny swoje.

O tak!

Chyba natura kłam  
sobie samej zadała!

O tak!

bo czyż może kłamać  
mi wzrok mój?  
mogą kłamać źrenice te,  
co odbijają w sobie ogrom wszechstworzenia!

— Dzisiaj widzę inaczej.

— tak widzą dniowe dzieci,  
tak lśni łaska  
w pierwszych rozemknięciach powiek,  
że na progu, na początku życia  
widzą wszystko  
od przeciwległego krańca.  
Zda się  
rozdzieliła się dusza ich  
na dwie części —  
stojące —  
jedna u stóp —  
druga u szczytu szczeblów życiowych,

i ta druga powrotnem spojrzeniem  
zlatywała  
na spotkanie siostrzanej połowicy.

Tak i ja, o wargi,  
widzę was odwrotnie:  
— Nie wśród różowo-przezroczystych  
listków lic,  
nie na łodydze z szyi alebastru  
wykwitłyście —  
ale czarodziejska różdżka,  
rozpłdzające nożyce  
dziecięcej niewinności nowotnego widzenia mego  
was przyszczepiły na rozstaju ciała,  
w widłach ciała,  
skąd wyczerniacie się,  
niby obozowisko Szweda z wideł Sanu,  
u kąta delty od nóg cielesnych,  
w istnienia alfie, —  
zaszczepiły was  
w rozgałęzieniu kobiecości drzewa,  
a wrosłyście w nie  
dziupłem szarzejącym,  
kiedy, trwożne ptaszę, szukam schronienia  
w noc burzy, w noc rozpętań miłosnych,  
w noc szalejących zmysłów,  
a wtem — rażony  
gromem szalejących zmysłów,  
co do białta rozpalony — przetryśnie mię nawskroś,  
zwisnę bezwładny  
na rozstajnych drogach ciała.

— O wargi! — —

Ach! to sen tylko — sen Mahometa,  
gdy raj hurysek wyśniwał

...co stanie się! — —

O wargi!

Na dnie leżę  
opłyniony snów powodzią.  
U wezgłowa chwieją się z prądem  
rozliczne wodorosle —  
porosty rzeczne, porosty morskie,  
szczupaki natchnieniowościowe  
gonią,  
w rzadkie wyszukane zwroty  
igrają i złocą się  
świetnych rybek — słów gromady.

-----  
— Lecz któż to uśmiechów dobiera chytrych  
do aquaryum mego złodziejski wytrych?  
-----

— Ach! wiedz!

— Zwierz los,  
jak niegodziwy człowiek,  
co kocię, szczenię małe włóczy do wody,  
zepchnął mię  
z bezpiecznych brzegów obyczajowo-moralności,  
z balustrad opastych, by wielkanocny wieprz,  
zdrowych rozsądków porządnych ludzi,  
zasłużonych obywateli kraju —  
stoczył do rozjątrzenia mętnych  
natchnieniowych wód.

Hej!

nie mętne wody to!  
jak przezroczą się wskroś nie  
wargi kołyszące się

na rzecznych mgieł oparnem prześcieradle  
mokradle.

O wargi!

— oto dziecię narodzone  
nowe, świeże życie — stoję przed wami.

O wargi!

— narzućcie  
na ciepłą nagość porodzoności mojej  
swą białawą koszulkę niewinności,  
w koralowe powijaki  
otulcie drobne ciało moje,  
na obnażonej, bezwłosej główce  
gorące złożcie całunki —  
łaskotliwymi pieściami wodźcie.

— Krwawy z was biorę chrzest!

O wargi karminowe! kalinowe!

O wargi malinowe! rubinowe!

Och! to sen był tylko —  
sen Mahometa,  
gdy hurysami zakwiecał raj,  
zakwiecał, ma!.

— To przeszłość gada!

Ach!

Stań się,

stań się,

stań, stań!

Stań stań!

Stań się

stań się,

stań!

O wyczuwane, niezgłębione moce!

Oto mag chaldejski,  
magiczną wznoszę laskę —  
z mej krwi i kości,  
Święte zakreślając koło.

Wzywam was  
straszliwych zakłęć  
nabrzmiałemi ruchy.  
Wołam was!

Otom na Sacharze namiętności  
po opadnięciu morza —  
rybą niemocną —  
skrzelami trzepocę,  
— wzbierzcie zalewą,  
w upojne zamknijcie mię sploty,  
obym nie żwir powietrza  
gryzący  
bił spienionym ogonem,  
lecz abym tonie roztrzącał potopne  
i pohopne!

Fale wasze!  
— Na łądzie namiętnościowym —  
znojnym łożu mojem  
zabałwańcie się podemną  
pierśmi białopianemi, głębiną czelustną,  
rozwianym włosem,  
pierśmi, włosem, kolanami rozwartemi,  
podtrzymujcie, ponoście mnie!

O moce! niezgłębione moce!



Ku wam  
z korną modlitwą świętobliwą  
chylę się,  
do najtajniejszych skrytek  
wczługują się pragnienia pożądań moich.

O znijdźcie do mnie!

Obłokiem pożarnym  
na łysą znijdźcie górę,  
Kędy gniazda wiją  
orle pożądze me —  
na żywe srebro, na złoto żyjące,  
co drga i przelewa się wewnątrz.

O znijdźcie!  
Tam sabath ogniowy,  
tam hymn piorunowy  
..... odprawię wam!

O znijdźcie!  
Tam omdleń drgania,  
wichrów wołania,  
..... szały parne  
sieką skry!

O znijdźcie!  
W upojeń odmęty  
płonące okręty  
..... kołują,  
płonące okręty  
..... toną  
płonące okręty  
huragany nawalne  
..... gną!

To wy? to wy? to wy!

-----  
wyszepty zeschnę, ukojów oniemiałość  
osłabłość,  
szum — szum — wiew — bielmo — mgła —  
-----

To wy? to wy? — to wy! to wy!

w przymierza znak tęczę rozpalcie na mnie  
ramiona,  
Na łaski znak w kołyskę rozsuńcie  
biodra,  
— w wchłonięcia znak!

Oto przyptywem wichrowym  
wprzepaszczam się  
do pieczar waszych  
otom przyładkiem klinowym  
werznął się  
w zropiałe cieśniny mórz waszych

=====  
Wołacie mnie.

O wnijdź, o wczeluszcz się do nas!  
— Stałeś się!  
na rozdrożu ciała antejową pokrzepą  
umacnacie mnie:

Skoś gąszcze nieprzebyte  
tunele, zasieki — zarośle dziewicze,  
co ich żadna — najciekawsza z ciekawych  
główka nie przedarła —  
pchaj się, drzyj!  
pchaj się, drzyj!  
a zgłębisz, posiadziesz nas!

a zgłębisz, posiędziesz nas!

Otośmy krater rozpękły —  
trąbą powietrzną weń wwierć się!  
weń wwiń się!

Otośmy krater rozpękły  
od ogniów twoich podziemnych  
odgrodzony.  
Ognistym słupem, taranem  
w lawę roztopionym  
wświdruj się, przebij powłokę,  
co wnętrze jego przedziela!

W nacyonalnym parku  
stanów, staników zjednoczonych  
dwa białofalne, stałe gejzery buchają.  
Roześciel się nad nie, sam gejzer wspaniały,  
oszczepem co wrażasz się  
w skrwawione nieba chuci naszej . . . . .

O Baku!

O Islandyo!

O Artua!

co w tobie takie fontanny biją!

O międzynarodowe towarzystwo geograficzne  
śmiałych podróżników, badaczów  
niezrażonych — zuchwałych!

W niezmiernych oceany żądz  
zarzuć kotwicę — na kotwicy stań!  
sondę zapuść

i mierz,  
i mierz!

O Dante!

Tu gienna i erob,  
tu z Vergiliuszem zstap —  
niech cię prowadzi!

A jeśliś sterany,  
a jeśliś wycieńczony,  
zanim dziewięć razy księżyc odmieni się złoty,  
ujrzesz Beatrycze!

O górniku!

Zejdź do Olkusza naszości!

A nie składaj kilofa u nóg swych,  
lecz wznies go,  
kuj nim w śródmurze,  
kuj nim w śródnorze nasze,  
a zleje ci się srebro,  
a wyciosasz omdlewający  
skarby rozkoszy edeńskich.

A naciągnij siatkę Davy'ego  
na pełną świętego oleju lampę twoją,  
skoro zstąpisz w Dąbrowę płodności naszej,  
by — niepomnemu przestrzeżeń,  
nie cisnęła,  
po dziewięciu miesiącach cierpliwości swojej,  
Oskardem, być może, u nóg złożonym.

A gdy zakładasz minę  
siedmiokroć uprzytomnij sobie,  
czy życzysz wybuchu  
w całej wrzaskliwości jego.

Już toczysz wózek po gumowych szynach.

O skowronku!  
nad czarną, bujną  
zielonością niwy naszej  
skrzydełkami szaropierzonemi  
połatujący —  
a dziobkiem wspiewujesz się  
we wschód pałający!

O słońce!  
chżył promieniem igrasz  
w głębokościach naszych.

o słońce!  
co w spiekotne lato zespolenia  
siedmiokroć siedmiokrotnie  
wschodzisz i zachodzisz w nas!

O konary!  
nad potokiem zwiste!  
co w nawałnicy roznamiętnienia  
raz w raz kąpią się  
we wstydlivościach!

O piorunie!  
który ściągnęłyśmy w siebie,  
co jednoczysz raj i piekło —  
co ze swoistości twej  
ślepi  
w swojskości ziemię,  
w rozwarte w niej pożądnych piekieł wierzeje!

O żarze odstoniony,  
o płomienne żyły,  
o obiegi tętniące,  
co rozsnuwają się  
w planecie naszości.

Co miesiąc toczymy pełnię księżycą krwi  
na złane  
                            pokrwawą miesięczną  
  roztworza  
sukni naszych!

Jakież to zaćmienie cierpimy,  
odkąd obcowałeś z nami?

jakie chmury przesłoniły nas?

— przedziwnym zbiegiem  
  okoliczności

wydajne chmury te  
kształt biorą dziecka.

Hannibal ante portas!  
  lamentny na cię

senat rodziców woła —  
oślepy z przerażenia,  
                    ale my, Roma wyległa  
w tobie

                            tryumfatora witamy  
kwiaty państwa,  
czystości kwiaty  
rzucając  
                            pod stopy twoje.  
                            Na złocistych kołach  
toczy się rydwan twój

— ognistego dosiadasz rumaka —  
a my mu wodze trzymamy.

— ognistego żrebca parskającego!

Ave Caesar!  
natura te salutant!

Ave Caesar! vivat imperator!

Ave! Ave! Ave!

---

---

O wyczute! zgłębiane a niezgłębiane moce!

---

*Tu zerwała się symfonia, biorąca poświatę księżycową,  
mirrę rozwijających się smukłości  
kształtów dziewczęco-dziewicowych,  
muzykę linii greczynek  
od płomieniejącej woni dźwiękowej —  
— tchnionej pozorami.*

*tu na jałowym wybrzeżu „co wypada, a nie wypada“  
[spoleczności,  
wstrząsanem co chwila śmiertelnym kurczem  
rozpasanych okrzyków zgroźnego potępienia,  
skonaly ostatnie kręgi natchnieniowe —  
— wykwitłe z pod kamienia  
porozowości.*

*Taki epitaf na potępieńczy utwór położył przechodzień,  
co z nieugaszonym wapiennym nagrobkiem w barce  
[rozpękłej —  
— niby język w ustach — smknął te tonie.—*



E. STRAZZABOSCHI.

PROCEEDINGS OF THE

Annual Meeting of the  
Royal Canadian Institute  
Held at Toronto, Ontario, Canada  
From the 27th to the 31st of October, 1901

Published by the Institute  
1902

## MÓJ BUKIET.

Jestem zielenią otoczony — i patrzę. Z rzewnością wszystko w sercu łączę... Więc biorę pyszne delikatne akacje, pąk bzów różanych i liliowych, gałązki złocistego krza... Dorzucam domy, sznury, rozciągnięte na dziedzińcu z miechami drogich futer, ściągam kiście kasztanów, białe z krwistymi wypiekami. Podstępnie chwytam w kurzu ulicznym pełzającą dziatwę i rozsypuję między nią dumne a wstydliwe śnieżne konwalij łona... Zkrzykuję kury i koguty, psy, kochliwe koty. Tam ludzie kręcą się i ich przyciągnę. — Hej tklive me niezapominajki — do pasa ludziom przypnę was, byście im w chore dusze zaglądnęły i zaświeciły wdziękiem bladym... Mrugnąłem filuternie wiatrom i obłoczkom — przyłażcie do mnie! — A nie odmówią również mi topole, wiśnie i czeremchy z ich kwietnym wonnym czarem:

To wszystko odgrodziłem kapryśnym łańcuchem sinych wzgórz, ażeby ukryć przed natrętym wzrokiem. Stałem teraz nieco na uboczu, „Czekajcie, co chcę wam powiedzieć, uczynić z wami. — Zaraz!“ Zaśmiałem się wesołym szalonym śmiechem. — I nagle biczem, węzem bezlitośnej woli niebios błękitne wstęgi zrywam i wiążę, wiążę gości mych w czarowny bukiet — który postawię w dziwnym mym ogroju... Ha, ha, ha! Mam bukiet — własny, własny!

## WITAJ MI WIOSNO!

Wszystko wilgocią nabrzmiało. Strzępki mgieł w agonii czepiają się przemokłych drzew, śliską brudną szadzią oblanych. Chorobliwe światło latarni wije się w sztywnych skurczach. Świeże porywy wiatru giną, rozplywają się w atmosferze schorzałej bezsilnej. Piers miał wypchaną flegmą i śliną. Chrząknął mocno i zakastał przeciągle, okropnie. Flegma dusiła go, a nie mógł się jej pozbyć. Suchy przeraźliwy kaszel rozdzierał płuca, ciskał w policzki cegliste smugi zatrutej krwi.

„Po co wyszedłem?“ — szepnął — „Jak mokro, zimno!“ — czuł dziwny niesmak, dławila go bezkreśna ohyda. Kastał długo, i kaśnięcia rozlegały się, jak echa toporów, las robiących — wilgotny las. Gorączka trawiła wargi; roztworzył je jak kielich i sączył mokrą i ziało chorego powietrza. Drgnął, wydało mu się, że serce się podniosło — i opadło po chwili... Zgrabiła akacja strząsnęła nań zdroje mętnych łez; dostał się jedną nogą do cuchnącej kałuży, i zimne mrowki wstrętu rozbiegły się po ścierpłej skórze, podczas gdy gnuśna zmieszana z błotem woda przesiąkała trzewik, ubranie. Dalej, dalej! Czasami, jak gdyby przytomność tracił, to znów fala zwiędłej, przepsutej krwi uderzała silniej. Nie rozumiał tego, co się z nim działo. Nieuchwytnie marzenia powstawały i, kusząc czarem swej zagadki, zanikały. Wzdrygnął się. Przed oczami mara mignęła blada, chwiejne bezkształtne cienie skupiały się wokół. Porwał go niespodzianie kaszel, tępy, uparty. Głucha niepojęta trwoga lęła się

gdzieś na dnie duszy. Zakrztusił się, krew buchnęła do oczu — purpurowe martwe kwiaty skwaremi opalone skłoniły się z eterów, posępny bursztynowych krzyżów wypłomienił się strumicic. Okrutny ból świrował zwolna czaszkę...

I napót ockniony — rozwarł oczy. Dziki wilczy lęk zaskowytał w duszy. Zdrętwiałymi dłońmi odpychał groźny widok... Nad ziemią zwiślało olbrzymie widmo dziewicy — siwemi mgłami się wlokły roztopy włosów, perłowe fale piersi tuliła do ziemi, w spazmach obłądnych ściskając ją ramionami srebrno spopielalymi. A łkała głosem ogromnym. I groźne były jej łkania, — wtórowało im wściekle wycie wichru. „Uchodzisz z moich rąk“ — szlochała — „ja ginę! nic nie zbawi mnie... o podła! — wkrótce znowu posiadać będziesz kochanki nowe, — a mnie zapomnisz — rozzielenisz się radośnie, pod stopy ciśniesz kwiecie jej — Wiośnie!“ Podniosła ociężałą głowę, ściągniętą rozpaczonym szalem twarz. Z nieruchomej zrenicy matowej czyhał dziki upiorny ból pustyni bezbrzeżnych lodowych. Lica białe jeszcze, naznaczone brązowym piętnem zatrąty, na piersi perłowej zielonkawie wytrysło kwiecie rozkładu, fioletowe pręgi — padalce ślizgały się po szyi, łonie i ramionach. Zaleciała go cikliwa woń zgnilizny. Wzrokiem wyteżonym przebijając powłóczyście ciało. Widział mirjady zarazków, subtelnym pyłem krążących w arterjach. Ciągnęło go nieprzeparcie do tego widma. „To zimy konanie“, przebłysnęło w świadomości. Walczył ze sobą; febra nim trzęsła; jak deszcz po liściu jesiennym tętniła krew; zlezione potem włosy sterczały jak gniazdo węży... Darremny opór! krok za krokiem ustępował podbity pokonany urokiem strachu i ohydy. A już się do niej zbliżył, już go spostrzegła i głosem skargi ogromnej

i grozy wyrzekła: „mój jesteś!“ I owiała go, zwiśla nań całą postacią niezmierną. Ujęła za głowę i pocałunek zabójczy wycisnęła na ustach, wlała weń zgubę rozkładu i próchna. Szpony wszczepiła w pierś i serce zgniotła, lubując się srogich męczarni katuszą. Jęknął, szarpnął się precz, — pozostał. Z zapamiętaniem obłąkanem wgryzł się, wżarł w jej piersi, chciwie pił jej pocałunki... Aż zamiast kaszlu przeniknął go ból ostry, dotkliwy. Z ust spływał cienki sznurek krwi i, roztrącony rubinami bez połysku, spadał z cichym delikatnym brzękiem. Wraz z krwią opuszczał go obłęd. Kamienna niema pustka w głowie. Przyczajone cierpienie... wewnątrz wszystko skołatane, rozpętane ostatnim strasznym wysileniem. A kochanka zima rozlewała się trupiami mgłami, tumanem jadowitym. W chaotycznym rozprzężeniu zmysłów powrócił i padł wyczerpany na łożu. Tysięczne cienie, mary, wizje, szły, toczyły się, mknęły, huczały w mózgu rozszałałym. Przez nadtłuczoną szybę patrzyły trupie oczy i zimno powoli wsiąkało do pokoju... „Hej, wstań kochankul idę już. Zwycięstwo moje głoszę tobie. Ja tu panuję! Zimy zgon otrąbiam na wsze strony“. — i wiatr wiosenny, rzeźki, tkliwy potopem wdarł się nagle. Postać dziewczęca, w szacie jasnej, — a umajona! „Kwiatów woń przynoszę ci, mój chłopcze drogi!“ Dźwięki cudowne: — szmery roślin, strumieni płacz i huk potoków, ptastwa gwar, śpiew matki ziemi. Jak kat podstępny napadł kaszel. Trysnęła znowu krew serdeczna — „Ach, mniejsza! — wszystko zapomniane! W głowie taneczny myśli wir... a serce bije, tak głęboko... O wiosno moja!“ „Wstań kochanku!“ i pocałunek składa ciepły, dziewiczy taki, tak słoneczny! Płomieniem stał się jasnym i błękitnym. Z uśmiechem szczęścia, krwi korale na szyję wiosnie wkłada śmiało. „Ha,

w głowie wir, w sercu ogień... i w płucach żar... Pa-  
dam... nie mogę! Mam jad we krwi! Lecz... Wiosno  
moja! Ciebie kocham! Witaj mi wiosno!“

Skonał cicho we krwi zakrzepłej krwawnikami,  
w uścisku wiosny.

Witaj mi, wiosno!..

## PÓJDŹMY W TAN!

Hej, w pole wyjdę, w las, bo tęskno mi! Wiedziałem wiosnę już, i znowu skryła się odemnie. A zima zaczajona konającymi dłońmi objęła ziemię jeszcze raz, choć po raz to ostatni. Wionęła srebrem szronów bólu swego, jękliwą piosnkę nucić próbowała, co chwila rwącą się szlochaniem rozpaczy, żalu bezbrzeżnego. Tęsknota oto mnie pognęła w pola, w łągi, by tam odszukać ukochaną.

Szukałem wszędzie tkliwie, stale i nie znalazłem jej. I byłem w łągach, polach i ugorach. Na zwiędłych trawach, czarnych skibach zbierałem lzy matowe — jej tam nie było. W ruczajach, rzekach i jeziorach smętnych, ciemnych, jak ołów widma stały drzew — nie widać rybek — martwica — w nich zimny grób — w nich zimny trup, — lecz niema wiosny tam. I w las ruszyłem. Brzozy, obnażone białe dziewczoje drżały z zimna, skurczone dęby, jesiony i sosny trzęsą głowy bolesne zwilgłe spragnione całusów słońca i marzą..! wiosny niema.

„Gdzieżeś znikła, ma kochanko? Czemuś porzuciła mnie?“ Płakać chciałem, — przypominałem, że jej łzami, słońną wodą, nie ocucisz, nie zdobędziesz. Żarów, ognia trzeba dla niej. Zapłonęło serce moje i wybuchnąłem: „powstań wiosno! Ja cię kocham i utulę na swym łonie. Powstań wiosno!“ Jak zakłęcie brzmiał mój głos — zrobił rum mnie w niebios trumnie... i wyjrzało uśmiechnięte stamtąd słońce. „Wiosno, powstań!“ Zaszemrały, zajęczały lub z swiegotem coś szeptały jaskółeczki miłe wiosny, jej pierwiosnki — jej strumy-



ki i ruczaje, jej rzeczutki, jej jeziora. „Powstań wiosno!“ Wiatr przyleciał bardzo czuły, wyczałował mnie, wypieścił i pofrunął w lasy. Zagadało i tam wszystko. Rozjaśniły się niebiosa. Ludzie ze wsi pociągnęli patrzeć na ruń szmaragdową. Serce rosnęło — jak ogromna a głęboka rzeka jasnej, słodkiej wody w nim rozlała się uciecha. „Wiosno, gdzieżeś? pragnę ciebie!“ Lecę przez wilgotne łąki, lecę przez zorane skiby, w nich zapadam się, zrywam. „Powstań, wiosno!!! Aż zjawiała się, — skąd nie wiem. Tak urocza, tak spłoniowana. Wyskoczyła może z lasu, może z wód się wyłoniła, falą kwiecica trysła z ziemi... lub z obłoków spadła do mnie. Zawstydziała się prześlicznie. Stoi, naga i dziewicza. Skamieniałem... przypominałem, że do panien brać się ostro! Obwinałem ręką kibić wiotką, smukłą i przejrzystą, — i całuję Ją ogniście. Ona też całuje mnie. Oczy modre, chabry modre śmieją się przez łoż brylanty. Piersi pieszczą kwiat różowy, zrywam listki z nich roskoszy. Nagle żądy tknięty gromem. ją unoszę, ją porywam i w dąbrowę pędzę ciemną. Tam na siwych mchów pościeli... Zazdrościli nam anieli! Lekki krzyk boleści nagłej, rosa krwi, co goździkami umiała czerwonymi mchy i trawy siwe stare.. Żółty len warkoczy bujnych... pozłocistych bioder cud... Szał zachwyty upojenia... Wtem się porwie z mchów kochanka moja, słodka Wiosna, — i uciekać nuż odemnie. A gdzie drzewo warkocz muśnie — w zieloności drzewo stanie. A gdzie stopą dotknie boską, — kwieciem krzyknie ziemia: „kocham!“ A gdzie wód przelotem czepi, — ziąb namiętny chwyci łono wód, — i prysną srebrem pożądania, tęczą marzeń. Za nią chyżym orłem mknę, — wnet dognałem i, całując w modrą szyję, czule ją pocieszam: „Czemu wstydzisz się, rumienisz? Przecież tak sądzone nam. Ko-

chaj mnie wiosnianko luba!“ Czy słuchała, nie słuchała, nie wiem o tem nic, bo pożarem pocałunków wysuszyłem oczy z łez...

Hej, wesoło mi szalenie! Wiosno moja, pójdźmy w tan! Póki młodzi i kochamy nie marnujemy czasu — w tan! Hej na łan, zielony łan — pójdźmy, wiosno moja w tan! Dzisiaj oto ciebie miałem, jutro drugi będzie miał... Mniejsza o to. Niech cię kocha, niech ci szczerzy odda szal! Pójdźmy wiosno moja, w tan! I pomknęliśmy w mazurze, jak huragan, burzy błysk!... to znów czule jak kochanie, słodkich ustek całowanie, jak różowe pożądanie... Przelecieliśmy nad lasem. „Drzewa w tan! I brzoza z dębem, grab z leszczyną, świerk z sośniną poszły w nasze ślady. Trawy, krzewy tańcowały... Ludzie wyszli. Pójdźmy w tan! Każdy swoją bierz, i w tan — na kwiecisty ruszaj łan! I parobcy wnet do dziewcząt... Piski, wrzaski, opór, śmiech... Wywijają, rzną hołubca. Hej za nami naprzód! Tak! Na kolano padam wraz, zakręciła się dokoła. Znów skoczyłem. Pieśń wesoła brzmi z ust moich i z jej ust. Koty, psy, buhaje, krowy — gdy zoczyły — poskoczyły i nuż w taniec. Pójdźmy w tan! I obłoki, delikatnie różowiące się dziewiczo — uderzyły w zwinny taniec. Pójdźmy w tan! My lecimy z hukiem, z śpiewem. Słońce! w płasy z nami wraz! Jak uśmieło się serdecznie — słońce z góry widząc nas; lecz patrzyło i patrzyło... w wir taneczny nasz skoczyło! Pójdźmy w tan, wesoły tan!

## NOCKA DZIEWCZYNA.

Dokoła względnie cicho. Słabe odgłosy dolatują z ogródka, zegarek rozpaczliwie kołata w brązową swą deskę piersiową. Mdły płomień kagańca rozlewa drżące niepewne światło. Pozatem cicho. — Kłamię!... bo taktem urwanym a silnym bije me serce, opadając, to znowu wzmagając się — jak płomień kagańca. A w okno otwarte nieśmiało i dumnie zarazem zagląda nocka ukraińska. Czarne długie rzęsy bronią aksamitnych przepastnych oczu, — jednak i przez tę osłonę wystrzela wstydliwie przyczajony smętny ogień... a kusi, a nęci... Wołasz? Słucham. Pomknę w twe ciemnie rozkoszne, całą piersią odetchnę; — nie, rozedrę ją na poły, byś czar twych woni, twych szeptów i szmerów tam wlała! Idę!..

---

A nocka musnęła mię delikatnymi paluszkami. I postyszałem ciche: „pójdź za mną!“ I poszedłem, porwany miłością i tęsknotą. Tęsknotą która mię trawiła i smagała biczem nieukojonych żądz. Przyjmij mnie, nocy. Pozwól odetchnąć na łonie tętniącym wiecznym życiem; a brat twój, wiatr stepowy niech mnie ogarnie, ukołysa szumami jękliwych, spiewnych a smutnych, Boże, jak smutnych—dumek i szumek ukraińskich... Idę, a nocka rozsuwa swe cienie, zgęszczając je za mną. Dęby wyrosły przede mną. Rozłożyste krzepkie barki, przygarbione nieco wiekiem, harde gęste czuby. Starce, rozsiadłszy się na twardem postaniu z mchu i kamieni gawędzą poważnie, czasem we-

stchnienie przerwie gawędę,—milczą— po chwili znowu rozgwarzą. Szedłem wolniej, ślaniając się. Mgła zniechęcenia stłumiła jasne ognisko zapału mego. Złamany byłem i smutny. Wtęm oddech palący na ustach poczułem. Zerwałem się. Upojenia słodkie wino uderzyło do głowy. Jak szalony skoczyłem, doгнаłem porwałem ją w silne ramiona. Ostry płomień przeleciał mnie od stóp do głowy... Znowu umknęła. Nocko dziewczyno! Czy zawsze tylko manić, kusić będziesz. Płonałem, jak dąb piorunem rażony. Serce wrzało, czułem dym gryzący w ustach, wargi popękane pałały. Zdało mi się, że cały jestem żagwią gorejącą, żużlem, lawą. Nocko moja, dlaczego unikasz mnie, spływasz mi z rąk? Tak jestem spragniony pieśczoły, uczucia wspólnego, smutków kojonych na piersi kochanej. Nie usłuchała. Miałem ją w rękę; gdy chciałem uścisnąć, znikaała. Ramiona z bezsilną rozpaczą chwyciały próżnię, a przecież była obok, dysząca rozkoszą omdlała. Upadłem. Płonącą twarz ukryłem w trawy wilgotne, darłem, ryłem ziemię, jak drapieżne zwierzę. I nocka pieśczołliwie przytuła się do mnie. Zerwałem się wściekły. Srebrne śmiechu dzwoneczki zabrzmiały, westchnęły przeciągle płaczu opalowe flety... odlatywała. Jak burza rzuciłem się w pogoń. Wiatr w obronie siostry ujął mnie za bary. Mocowałem się przez chwilę,— huknąłem nim o ziemię aż trwożnie jękał. Zawył przerażony i uciekał odemnie, uciekał... a ja pędziłem. Pod stopą moją stęknie ziemia, z przestraczem drzące migną brzozy i osiny, trzęsące się dłonie przeciągnie szlochając wierzba zgrzybiała... mimo, precz! Nie ujdiesz mi nocka, nie ujdiesz dziewczyno! Aż oto z groźnym szumem powstał las i ruszył na spotkanie. Dźwignął rzesze konarów potężnych, chciał wstrzymać mnie, usidłać.

Rozdarłem zgubne sploty i dalej gnałem. Na groblę wpadłem, fale oczeretów i sitowia przewalały się, zostając z tyłu. Z łopotem zerwało się ptactwo sploszone.

Biegłem! Piers moja była puszcza, jak pożar w niej szalało nienasycone serce, w węgle i popiół wszystko dokoła obracając.

Z trzęsawisk posępnych ciągnęła mgła jak mleko biała i zastąpiła drogę chmurą nieprzejrzaną. Starłem się z nią. Z gniewnym rykiem biłem pięściami, gryzłem, targałem — nadarmo! A wówczas z piersi serce wyrwałem gorące. Leć mój ptaku ognisty i wroga pokonaj! Usłuchało mnie serce, wpiło się, wżarło we wroga; krwawymi szarpało szponami na szczątków tysiące. Szarą bluzgając posoką mgła wstąpiła na łoża wilgotne. Ale serce nie wróciło już. Rozwinęto skrzydła czerwone do lotu, utonęło w chmurach nieba, — i piorunem stąd ognistym uderzyło w nockę moją, uderzyło w mą dziewczynę. Pochyliła się, zachwiała, upadła... Zapaliła się ziemia; rzeki i lasy w ogniu stanęły. Żarłoczne me serce przywarło do ust mej nocki ukochanej i słodycz, szczęście piło z nich... A razem z mym ognistym ptakiem życie ze mnie uleciało. Serce me wzbilo się wzwyż, ciskając naokół płomienie... I oto orzeł mój krwawy hymnem ogromnym tryumfu wybuchnął, a łuną skrzydeł niezmiernych ogarnął niebiosa. Mój ptaku czerwony! Me serce!

Słońce!

## BYŁO.

W szacie powłóczyściej ze złotogłowiu rozgorzałego. Przetkanej skrzącą purpurą. Niedbale rozrzucona... Błękitne piła wino. O szczęściu śniąc. Rozzłociło się łono, trawione prężną rozkoszną niemocą przecucia. Przystępu jędrza broniła ze wściekłym smutkiem w oczach. Dłonią skostniałą przełamывała promienie słońca. I brocząc krwią spadały konające na szaty jej. Krwawe plamy okraszały zwoje jedwabiste. A ona krwią zbluzgana sączyła wino przezrocze zaczarowane. Ręka jej drżała. Niebieskawy smug zdradliwie krył się w cudach kibici. Wstała zataczając się ze wzrokiem przesłoniętym mgłą. „Pragnę! Pragnę“—ciszej powtórzyła —„pragnę“... Cicho było Szmer lekki Trwożny głuchy szum. Zahuczało. Już był! Jak żądza nagły. Groźny jak zemsta. Jak pierś dziewczęcia delikatny. Brutalny, lodowy, płomienny. „Moja jesteś!“ „Odejdź, nie chcę ciebie!“ Z krzykiem lęku szamotała się omdlewająca bezsilna. Zapłonął chucią i gniewem. Porwał ją w ramiona przemożne. Opierała się, płomienna, dysząca. Ryknął wpół obłąkany. Zgniótł, przechylił do ziemi. Koście chrobotowały. A szaty targał, zrywał, darł. Leciwały w strzępkach, barwistym kobiercem się ścieląc. W tryumfie dzikim zerwał pasma ostatnie. Przegiął kibic. złamał niepokorne kolana, cisnął na szat złoto srebrne zwały. Z brzękiem nikłym pękła krucha czara z winem. W osłupiałej źrenicy biały zgrozy upiór skamieniał. Opór ostatni przemocą zniweczył. Rozwarł ognistą dłonią biodra prężące się, miękkie, dziewicze—lubieżne. Ścisnął wypukłą strzelistą jej pierś. Dusił,

rozgniał ust blade maliny. Wiła się w bólu rozkoszy  
nie ludzkiej. Zwarli się w kłęb chaotyczny biodr, ramion  
i piersi... Szaleli! Ognistymi wypiekami wżerała się  
krew w szat zwłoki stargane i zmięte. Ziemia chciwie  
wchłaniała dziewiczą posokę. Huragan wył stugłasy.  
Słońce chychotało zgryźliwie, nieskończenie boleśnie...  
Hej puszczę, hej leśne!

Żarty tęsknotą. Żalu goryczą spity. Na bezdrożach  
błakał się gwałciciel. „Nie przebaczy! Odepchnie ze  
wstrętem“... Za głowę się chwycił. Gryzł ręce. Zawodził  
szlochaniem okropnym. Wszystko uciekało od niego. W  
popłochu. Bo przewracał, tratował, co tylko napotkał na  
drodze. Manowcami się zbliżał. Zataił się cichy śmiertelnie...  
Nic się nie poruszyło. Na czworakach się czołgał przez  
trawy. Z lekkim pełzał szelestem, węzowymi przebywał  
rzutami przestrzenie odkryte. Skradał się, czołgał, w  
bezruch zapadał... skradał się, czołgał... skradał. Nie  
mógł odetchnąć... I nagle nieuchwytnym wionięciem już  
wpadł, już był przy niej. I szepnął... „Kochana, najmiłsza!“  
Milczała, i wszystko milczało. I szepnął zkruszony z  
łkaniem dławionym: „Przebacz mi, przebacz!“ Milczała.  
Na smętnie mżącej pościeli ze szczątków szaty dziewiczej.  
Zaświeciła mu bladym kwiatem nadzieja. Głośniej  
powiedziała: „obudź się, przebacz...“ Milczała... „Bądź  
moją!“ Milczała. W radości wybuchu unosi w objęcia  
posłuszne jej ciało. I puszcza z syczącym okrzykiem:  
„Trup, trup!“ Obłądny z furją na osłep rzuca się, miece.  
Rozbija, gubi, obala, druzgota. Ryk boleści piekielnej.  
Zgrzytania i wycie. Złomy, trupy, ruiny. Grzmoty,  
grzmoty! Gwizdanie waryackie. Okrutny, ostry,  
rozwiązany śmiech. Naigrawał się, pastwił nad sobą.  
Na ukochanej zwłoki bluźnierczą podniósł dłoń...

Milczała, rosą operlona... Taka pokorna i bezwładna  
Owita złotawym tumanem warkoczy. Rozkoszne ciało  
rozzuciła, nie broniąc boskiej nagości wdzięków. Z nie-  
zmiernym łkaniem upadł na martwe jej łono. Z łka-  
niem niezmiernym, rozdzierającym, nieskończonym...



## ŻYCIE

BAJECZKA.

Chłopczyk szedł obok dziewczynki. Dziewczynka poślizgnęła się i upadła. Chłopczyk także upadł. A później wstali oboje i w różne rozeszli się strony.

## O STWORZENIU WSZECHŚWIATA.

BAJKA.

I włożył Allah czarne spodnie... Ach przepraszam, — spodni jeszcze nie było wówczas. A więc Allah nic nie włożył i poszedł w świat bez niczego. Co też gadam! świata żadnego nie istniało jeszcze. Otóż Allah bez niczego na sobie poszedł gdzieś w — „nicości“ krainę. Znudziło mu się tam wkrótce i rzekł w duchu: Psia krew! trzeba coś uczynić. Medytował, pogwizdując z cicha. Zaś z gwizdania boskiego narodził się wichur. I poczuł Allah dreszcz niemiły tam, gdzie spodnie zazwyczaj bywają, bo wichur zaczął hulać po Allachu, gdyż nic oprócz Allacha nie było jeszcze. I rzekł Allah: „niech się staną spodnie i okryją mnie“. I stały się spodnie z mroków uszyte i okryły go. Ale i po stworzeniu spodni nudno było jakoś. I myślał Allah... A myśli jego zamieniły się w mnóstwo świetnych i barwnych owadów. Z uśmie-

chem dobrotliwym łąpał je Allah i sadzał w rozmaitych miejscach firmamentu swoich spodni. A były jedne jako pszczoły, z których się sączył bursztynowy miód światła, inne — niby ważki błękitne trzepotały skrzydełkami strącając niebieskawe strugi promieni, jeszcze inne, podobne do trzmieli i bąków wylewały czerwone, fioletowe i żółte strumienie mieniającej się jasności. Tak z woli Allacha gwiazdy na niebie zabłyśły, ożyły i w różne rozlały się strony. Miał z tego Przedwieczny rozrywkę; lecz dnia trzeciego na nowo zapadł w dumania.—Nie było dotąd dnia ni nocy.—Wyłowił tedy Twórca z marzeń i na niebiosach postawił srebrne naczynie pełne nocnego nabożeństwa, przez ścianki swe matowo mżące. Z biegiem nocy naczynie przechylało się coraz bardziej... aż wreszcie buchnęło złotym potopem, paląc, gasząc obumierające światło gwiazd. I splunął Allah dnia czwartego. Powstała ziemia. Wyrosła niekształtna, zgarbiona, obdarta. I pleśnie zielone pokryły jej boki, i wody zalały w niej szczyrby głębokie. Ale nikogo nie było, żeby mógł poznać wspaniałość Wszechstworcy i hołd Mu złożyć dostojny. Wówczas zamierzył Allah uczynić coś na obraz i podobieństwo swoje. Stworzył zwierzęta. Liczne były i różne, ale niezdolne pojąć szczodroblewości i wielkości darów Allacha. I działo się to dnia piątego. Zaświtał szósty dzień, gdy Aliach wziął do garści nieco gliny i prochów, dolał złotego płynu z dziwnego naczynia, zamiesił, chuchnął i dmuchnął. Człowiek się stał! i mrużąc oczy zakrzyknął: słońce! Lecz wkrótce za miesiączkiem zatęsknił. Ucieszył się niezmiernie, gdy nastąpiła noc i księżyc srebrny rozbłysnął. A później za słońcem zatęsknił. I tak trawiła go żrąca nigdy nie syta tęsknota. Zbladł i zmizerniał Adam i błąkał się w raju, nie zważając wcale na łagodne lwy i tygrysy

i owce odważne ni na przepych drzew i kwiaty przedziwne, rozplywając się w ustawicznym wzdychaniu. Wtedy ulitował się nad nim Przedwieczny. Uspiał mianowicie Adama, i z jego żebra z kawałkiem mięsa stworzył Ewę. Ocknąwszy się ujrzał ją Adam, całą różowo złotą — i zląkł się. I uśmiechnęła się Ewa miluchno. Po długim namyśle Adam zdobył się na odwagę i dotknął ostrożnie ramienia. Było miękkie i ciepłe jak wełna młodej owieczki. Sprawilo mu to przyjemność. Więc dotknął piersi prężnej strzelistej... I jaśniej mu było na duszy... Zapomniał Adam chwilowo tęsknicy i Ewę całował, całował... I ona jego pieściła pocziwie... Chociaż nie znali jeszcze złego, i rajskich jabłek nie zrywali.

Zadowolony z siebie siódmego dnia Allach spoczął.

## LASKA KSIĘŻYCOWA.

Dziewczyna srebrna Miesiączek słodko chrapała gdzieś w głuchej odwiecznej nieb puszczy. Na łączce błękitnej, wśród kwiecia jasnego gwiazd świetnych drzemała. Szło słońce; ze złotym pługiem wracało z łąnów ornych, z czarnych skib. Zmęczone pracą — nie ocierając potu żółtych strumieni — wracało, powoli krocząc i marząc o miękkiej pościeli. A tu na drodze — Miesiączka łoże — błękitna łączka. Więc podłe słońce, knując zamiary sprośne a groźne odchyła obłok kotarę, podnosi zwiewnej z mgieł rąbek koszuli... Bluznęła krwi struga, potokiem ognistym zatapiając niebiosy i zastygając ciemno-rubinowym szlakiem. Spłynęły fontanną skrzepłe purpury Miesiączka krwi, żałobne kwiecie jej cnoty. Z ostrym krzykiem bólu i przestachu chciała wyrwać się ze słońca ramion... lecz opadła znów w ekstazie boskiej, w nieruchomy ścięta kwiat rozkoszy, mdlejąc, mżąc z pod rżęs srebrzystych deszcze szarów oniemiałych i bezsilnych... Słońce zaś, spełniwszy co spełniło i otarłszy członki spracowane wyruszyło sobie na spoczynek zasłużony. Chwilę po odejściu słońca dziewczę srebrne śniło w upojeniu, lecz, ocknąwszy się, zbolałe, twarz ukryło i płakało gorzko, strasznie... „Już nie jestem panną!“ — spłomieniona skoczy i w białych tuląc piąstkach zbłąkanią i splakane oczy, szybkim wionie biegiem. Zapomniała nawet zrobić ład z koszulką, zbroszoną krwią niewinną i leciała tak przez błonia gwiazdne, zapadała się w topielach szafirowych, ciemno lazurowe rzeki przepływała... Aż siwiutka stara chmura zlitowała się

nad biednym dziewczęciem Miesiączkiem, osłoniła sobą  
wzduch liliowych piersi, nóżek i wszystkiego, co ko-  
szulka odsłaniała. I ciemnawo stało się na świecie.  
Zniknął ludziom z oczu giętki chyży cień Miesiączka.  
Tylko lzy rozsiane przez nią w drodze zawieją śnieżno  
złotą prószę na wszystko wokół. I nocka Miesiączka  
matula zgrzybiała starannie zacierała ścierką czarno-  
gwiezdą sączące i zastygłe smugi krwi z córeczki jej  
Miesiączka utoczone. A niemoralne i zbrodnicze słońce  
co w krwi niewinnej oceanie spławiło pożądze swe,  
za widnokregu zaszło eteryczne koła. Więc mroczniej  
teraz jest na świecie. Bandy ciemności wypełzły z las-  
sów, urwisk i otchłani, kradnąc, wyławiając księżycowe  
lzy. I na ziemi ludzie tkliwie do księżycy zawodzili:  
„Miesiączku najmiłszy, pokaż się z ukrycia twego,—  
my kochamy cię, adorujemy!“ I podobne tym westchnie-  
nia, skargi, żale, rozwodzenia chórem brzmiały. Rzesze  
czułych słówek, błagań niby meszki i owady przeni-  
kały zwoje Miesiączkowej szaty z chmury i śwędziły,  
dokuczały biednej. Więc poczuwszy swierzb nieznośny,  
oderwana od żalonych dumań nad dziecinną swą prze-  
szłością i straconą niewinnością, rozgniewała się na  
ludzi, tych zuchwałych i obrzydłych, tych natrętów  
czelnych. — „Jak się zemścić?.. Wiem już wiem!“ —  
i zaśmiała się złośliwie... Więc odwraca się do ziemi  
niegrzecznie, z pogardą i podniósłszy w mig spodnicz-  
kę, — chluśnie pełnym zdrojem... Tak fermenty księ-  
życowe rzeką rozlały się, wylały się, lały się, lały...  
Łany i wody, lasy, przepaście i góry potopem srebr-  
nym zalane. Dziewczęta wioskowe w srebrze skąpane  
z chłopcami w sadach wiśniowych wesoło się bawią,  
miżdzą, całują. Pod szelest ulewy miesięcznej na mia-  
sta ulicach panienki, panowie — uszczęśliwieni mdle-  
jącym głosem szemrzą: „ach księżyc! ach!“—i głowy

podstawiają, usta rozwierają, a dziewczę Miesiączek, dławiąc się śmiechem świetliste im spuszcza zdroje do ust. Poświatą oblani, w ruczajach srebrnej posoki, rozanieleni ludziska łążą. A Miesiączek, jak figlarne robawione dziecko, spodniczkę z chmurki podnosi i wyżej i wyżej... aż błysnęło coś z marmuru różowego— i olśniło wszystko! Ludzie, wyciągając dłonie, prężąc członki dygocące z pożądania, stękali ciężko: „o Miesiączku, nasze bóstwo, rozkosz nasza!“ Poeci piali głośne madrygały: „Łaskawą twarz nam pokazujesz, o Miesiączku. O gdybyż wolno było śmiertelnikom wypieścić ją i wycałować, oddychać wonnym jej oddechem. Srebrzyste zdroje łaski twej przelewasz na nas ty obficie; z twą łaską razem wchodzi w nas srebrzyste nowe życie!“ Długo grzmiał ich głos natchniony, budząc w sercach echo roztkliwione. I wzdychały tam dziewczę, wytrzeszczali się młodzieńce, patetycznie deklamując: „Masz z nas wszystkich swoje jeńce! tylko na nas łaski trochę chociaż jeszcze spuść, Miesiączku nasz!“ A Miesiączek nie żałował, wszystkich chrzciał, polewał hojnie księżycowej łaski zdrojem.

---

Śmiałem się, jak opętany z tego widowiska, lecz znużony zmiłkłem. Smutno stało mi się naraz. Brakło lubej drogiej duszy, — siostry, matki lub kochanki. I z tęsknicą rzewną cichą wzrok wlepiłem w dziewczę białe i zawołam do niej: „Tęsknię, mój Miesiączku srebrny! Schyl się do mnie, ukój bóle, zgaś zarzewie mej tęsknicy. Kocham cię!“ I odwraca się Miesiączek do mnie zlekka, — o dziewczyno moja! Stopki drobne swe kieruje... O tak! do mnie!.. do mnie... do mnie. Obalony wzruszeniem, dłoń wychylam z upragnieniem i skarżę się: „tak mi smutno, czegoś brak, drogi mój Miesiączku! I w gorączce, drżąc, słaniając się, padam

na pierś białą, jasną. Na pół w zapomnieniu szepeć:  
„mój Miesiączku, ma najdroższa... Głowę przytulam  
rozpaloną do zlewnych fali piersi. A ona słodko mówi  
mnie: „spocznij, chłopczę, na mej piersi, pij z niej  
spokój, sen, ekstazę... pij!“ I jak niemowlę posłuszne  
przypadam do koniuszków złotawo-łowych i piję mle-  
ko księżycowe, piję!.. Jak szczęśliwy jestem! Wizje,  
prawdę, życie widzę. Piję mleko księżycowe!

## JA GWIŹDŹĘ!..

Niekulturalny, niegrzeczny, brutalny!  
— węzowy wokół pełnie szept —  
Zasługi, opinia, pozycja światowa,  
najwięcej przez nas czczona głowa...  
— — — — to nic dla ciebie?!

I pocóż szepty, ślina tajona?  
Wystąpcie otwarcie panowie.  
Ha, cicho?  
Więc ja odpowiem: Tak!

Na waszych działek celowy chów,  
Dla zaszczepienia im podłości,  
najpierwszej z cnót ludzkości!  
Na kult samicości kuchennej,  
na wytrzebienie prawdziwej mękości,  
na tłum rzezańców przeciętności,  
na lizanie pańskich stóp,  
na godności waszej grób!

Na wasze powagi, światowość, etykietę,  
na słodki flirt, balową toaletę!  
Na wasze mazgajstwo,  
opinii śliniaczki i smoczki!  
Na waszej podłości brudne zaranie,  
na nędzny żywot  
i na tchórzliwe marne skonanie  
Ja gwizdzę!..



...Wybucha wrzawa bezładnych głosów,  
straszne zgorzenie  
święte oburzenie.  
I trzęsą się łona narodu ze zgrozy.

Zbrodniczy niecny! Oprawco!  
...On cnoty nie uznaje...  
wolną miłość głosi!..  
A więc rozpustę popiera!..  
zatrzuwa łono rodziny...  
świętynie kała małżeńskiego łoża...  
O wstrętny! przeklęty! wykłęty!

Cha, cha, cha. I na to zgoda.  
Tak! Bo na konserwy dziewicze,  
na gwałt nad przyrodą,  
na uczuć wykrzywianie,  
na wizje panien ekstatyczne  
i na ich żądze seraficzne!  
Na prostytutcy rozkrzewianie  
dla zachowania kobiecości!  
Na takich cnót słodkawe mdłości!  
Na waszych ślubów gnuśne pęta,  
na wonne spodniczki kochanek.

Na ludzkie bydło i cielęta  
Na trzęsawisko łgarstw i fałszu!  
Na niepokalaność pruderyi... he, he, he...  
Na syrop kliwy waszych przyjaźni!  
Na zdawkowość nikłych jaźni!  
Na powszedniości nikłe drzazgi,  
na bytowania błahe drobiazgi!  
Na tajnych chuci legowisko,  
Na moralności społecznej bagnisko?

Na waszych duchów pieluchy,  
na same wasze duchy  
Ja gwizdzę!..

I struga nowych głosów  
połączy się z dawnymi,  
Syk literatów, poetów, uczonych,  
przez tłum uwieńczonych.  
A gdzie estetyka i czystość?!  
W jego słowach pełno  
straszego realizmu,  
modernizmu,  
ale ogromu idealizmu  
naszego — niemasz tam!  
Wbrew wszelkich praw, prawideł, logik,  
wbrew uznania tradycji szanownych  
i literackich powag!  
*(Krzyki się wzmożyły.)*  
Wbrew nas i przyzwoitości —  
poetyckiej wstrzemięźliwości,  
ogłędności, cnotliwości, uczciwości...  
A cicho tam! zakrzyknę sam —  
Mierności!

Ja na to wam  
odpowiedź dam  
dla starej waszej niewinności.  
Na waszych teoryj prawidła,  
na waszej poezyi powidła,  
na waszych uczuć mdłe kwasy,  
na literackie ananasy!  
Na adoracyi wspólny chór,  
w obozie literackich ciur!  
Na limfę bezpłodną bezpłciowej twórczości!

Na uznania plebsu kości,  
Na Abrakadabrę ultra sztuki,  
Na gawieź szperaczy, dłubaczy  
uczonych „analityków“!  
Na zgraje zdradliwe i wiecznie brzechliwe  
krytycząt, krytyczków, krytyków!  
Na wieszczów oczernianie  
na szczytów zohydowanie  
na was czyściochy  
na wasze szablony,  
rutyny, blichtry, fałszywe dzwony!  
Na mózgu rozmiękczenie i plotkarstwo  
kochane dziennikarstwo!  
Na waszą sprzedajność i błagę,  
na sztuczną kłamaną powagę,  
na życia spętanie  
na Poezyi obrzezanie,  
na wszystko wasze  
i na was stado  
Ja gwizdę!..

Wrzaski się rozległy.  
Okropny człowiek! Potwór!  
...Bezwyznaniowiec chyba...  
Jesteś bluźniercą,  
zgiń poniewierco!  
Kipi wzburzony tłum.

O nie wątpij najmilsza hołoto,  
Ja nie ustąpię kroku przed tobą!  
Tak! Na bałwochwalcze obrządki,  
na zaciekłość sekciarską!  
na klasztornych celi  
zaciszne bordele,

na ascetyczne kontemplacje boskich... ud,  
skąd tryska wieczny życia cud...

Na pobożną nudę,  
na zabobonów nieskończoność,  
na relikwii i cudów obłudę!

Na ciemność głów waszych!  
Na rajskie słodkości,  
czyścowe smutności,  
piekielne okropności!

Na wasze dogmaty, teologie, katechizmy,  
na dusz zhańbionych onanizmy!  
Na stadniny lubieżne dewotek,  
ten Chrysta harem, tych świętych kokotek,  
na dziki motłoch fanatyków!

Na świętych Olimp chrześcijański,  
na pokalaną Nieskalaność,  
na waszych miążkich losów  
kucharza okrutnego  
na Jehowę-Jowisza krwawego  
Ja gwiżdżę!..

I zagrzmie tłuszczą rozjuszona:

Bij, zabij anarchistę, zdrajcę,  
piekielnych knozań rajcę!  
Zgiń sprzedawczyku, demokrato,  
odstępco Ojczyzny, arystokrato,  
burzycielu podstaw społecznych  
wyrzutku ludzkości!..

Piana wściekłości

kluczem bije z ust tej czerni.

Pogróżki, pięście w powietrzu latają.

Jeszcze chwila — i rozszarpają.

I ja głos wnoszę:  
    Na jedno mgnienie tylko ciszy,  
        kochana trzodko boża!  
Na zaduch trumienny rodziny,  
    Na uwiad si i namiętności  
na kał miłości platonicznej,  
    Na parodyę wolności!  
    Na anielice i aniołki,  
        na niedoludki i matołki!  
Na wzniosłe szczytne altruizmy  
    młodzieży dobrej, slicznej,  
        choć syfilitycznej!  
Na tłum rabstwo, poniewierkę,  
Na sobków tłustą wyzerkę!  
Na liberalizmy, kretynizmy!  
    Na quasi naukowy szlam!  
    Na „sztuk-macherów“ kram!  
Na poronienia Muz i Nauk urzędowych.  
    Na kapitałom służebnictwo  
        i wszelkie niewolnictwo!  
Na demokratyzmy, socjalizmy!  
Na kosmopolityzmy, patryotyzmy,  
Na wasze państwo i społeczeństwo!  
Na podłości wszeteczeństwo,  
na blichtr, i błagę, i zgniliznę,  
    na ducha padliznę!  
Na waszych podstaw społecznych kajdany  
    Ja gwizdzę!...



## LAS ZACZAROWAŁ.

*Poświęcam G<sub>♯</sub>♯*

Jesteśmy w lesie. Patrzaj,  
jak ślicznie tu dokoła!  
No, moja droga, pędzej, —  
nie marudź tchórzowi jeden!  
Ruszyliśmy, — a liści  
spłowiałych suchych dywan  
pod stopą kornie szepce:  
Rozdepczcie nas, rozgnieście!...  
bo my zawadą tylko  
młodemu życiu roślin.  
Nas boli to, że stopy  
gnijących zwłok bezwładnych  
ciemieją, duszą działwę  
naszego boru: trawy,  
zielone pędy krzaczków,  
przeróżne kwiecie leśne...  
Rozdepczcie nas, rozgnieście!...  
Ten jednostajny szelest  
za nami ciągle pełzał,  
o zgon błagając kornie.  
I zamyśleni, wolno  
wśród smętnej skargi liści  
w głąb lasu szliśmy. Drzewa —  
bez szaty zwykłej jeszcze.  
Olbrzymie dęby stały,  
leniwie wyprężając  
konarów nagich mięśnie.  
O parę kroków inny

otwierał się już widok..  
Listkowie starych grabów  
żarłoczne, jak wróbelki  
obsiadło wsze gałązki  
i, żółte dzióbki swoje  
do słońca wysunawszy,  
spijały jego łaskę  
ożywczą cudotwórczą.  
Perłowe muszki, listki  
zleciały ciżbą gwarną  
wstrząsając skrzydełkami  
na panny strachopłochy  
osiny smukłe, wiotkie.  
Gdzie niegdzie poprzez wały  
szat lasu zeszłorocznych  
wychyla się ciekawy  
zielony jasny nosek  
jesionka, co dopiero  
urodził się. Tuż obok  
chelpliwie trawek igły,  
złotawe i zielone.  
„A widzisz, jak gościnnie  
pocziwy las przyjmuje  
nas, obcych ludzi z miasta.  
Rozściela sam kobierzec  
brunatny, tam i ówdzie  
dzierzgany dla piękności  
szmaragdem traw i krzaków.  
Rozkaże drzewom nucić,  
a wiatrom baraszkować  
wyłącznie dla uciechy  
obojga nas, siostrzyczko!“  
(„Siostrzyczko!“— pomyślałem,  
z westchnieniem,— „trudno, jeśli



nie zechce zostać dla mnie  
czemś innym, bo Waława  
tę czarnowłosą małpę  
najwięcej bodaj lubi!“ )  
Dolina. Strumień płynie.  
A jak leniwy łajdak!  
Najczęściej drzemie. Chyba  
upadnie jaki listek  
w nurt jego lub kamyczek.  
Nastraszy się biedaczek,  
zaczyna się gwałtownie  
tłómaczyć, uniewinniać, —  
przebiegnie parę kroków...  
— i zasnął znów w burzanach!...  
Minęliśmy leniucha  
nie mącąc jego słodkiej  
zadumy południowej.  
A dalej ścieżka pnie się  
na wzgórza bok pochyły.  
„Gorąco wszak, o duszo?“  
wesoło rzeczę do niej.  
„U-hu“, — mrugnęła oczkiem  
dziewczyna filuterna.  
„To się przebierzmy, duszo,  
masz białą świetną bluzę,  
wygodną ponad wszystko,  
bo wiatr dostępu wolność  
ma w niej z kaździutkiej strony,  
a ja nałożę drugą.  
I cóż?“ — „Hm, widzisz“, zacznie  
dziewczyna z ociąganiem,  
„mnie jakoś jest!“ „Nijakoś!“  
szyderczo kończę: „wstydz się!  
Tyś niepodległa! Odrzuć

obawy lekkoduszne.  
Przypomnij starożytne  
helleńskie dobre czasy,  
gdy nagie piękne ciało  
nie było żadnym wstydem.  
A tyś...“ „No, przestań gderać!“  
Rozpina, zrzuca stanik,  
a ręce gorączkowo  
targają haftki, sprzączki,  
śpiesząc się z przebieraniem.  
Spokojnie obojętnie,  
filozoficznie bardzo  
spojrzałem naokoło,  
a później na dziewczynę.  
Zauważyłem białe  
łodygi kwiatu piersi,  
różowe, nastraszone,  
zapewne pulchne — rączki.  
Nagwizdywałem zcicha  
z westchnieniem żalu w duszy,  
że te rozkosze będą  
udziałem szelmy Wacka, —  
nie moim zaś, niestety.  
Za chwilę biała bluza  
ukryła ją zupełnie.  
„Hej, Lolo, patrzaj tylko, —  
fijołki!.. i jak dużo!  
I, rzeczywiście, kwiecica  
wonnego pełno wszędzie...  
Drobniuchne fijołeczki  
leżące na łóżeczkach  
zielonych, skromnie strzygą  
żrenicą czystą jasną.  
A jaka woń subtelna,

— rozmarza, serce wzburza!  
Zbieramy je gorliwie, —  
te ciemne i dziewicze  
i tamte jasne, jasne  
wycalowane mocno  
promieniem słońca chytrym.  
Ten silny tkliwy zapach —  
to pieśń łabędzia biednych  
fijołków, dziątek lasu.  
Rozrzewniam się nad nimi,  
a mimo to wciąż zrywam, —  
takie już serce ludzkie!  
Gorąco bardzo. Cisza.  
Zajrzałem w jej źrenice,  
rozwarłe i błękitne,  
głębokie, zagadkowe...  
Zmieszaliśmy się nagle...  
Jako spłoszone ptaki  
ukryły się źrenice.  
„Cóż może wzrok ten znaczyć?“  
zapytam siebie w duchu.  
„Ha... marzy o Wacławie!“  
I zły roztrącam krzaki,  
rwąc krótką nać fijołków  
przy samym niemal kwiecie.  
„Miej więcej stoicyzmu“,  
logicznie — radzę sobie,  
„nie kocha cię? gwizdź na to, —  
— gdy nic innego zrobić  
nie możesz w danym razie.“  
Spoczęliśmy niedługo.  
I znów ruszamy dalej.  
Podcięte wiekiem, burzą,  
a może i siekierą

drzew trupy wszędzie leżą.  
Gdzie okiem rzucisz, kwiecie!..  
Złociste ostromlecze  
z trucizną mleczną w żyłach,  
miodunki sine, białe,  
krwawników skromna bladość..  
Tam wiotka wyka pada  
w objęcia goździkowi,  
zuchowi czerwonemu,  
i zasypuje wonnych  
całusów jasną tęczą;  
w tak ścisłym, a tak czułym  
uścisku omdlewają,  
że serce się przewraca  
z zazdrości, żeś nie goździk,  
a dziewczę twe nie wyka!  
Kroczymy dalej, dalej..  
Tu ziemia rozmarzona  
przed swym kochankiem słońcem  
roztacza wdzięczne kwiecie, —  
uśmiechów czar dziewicydh.  
A drzewa szemrzą cicho,  
a wiatr swe żale śpiewa,  
a liście wciąż się skarżą,  
a my, wsłuchani w głosy,  
idziemy nieustannie.  
Spad stromy wzgórza. W dole  
za przepierzeniem z starych  
odwiecznych lip, topoli  
lśni tafla wód przezroczych,  
spokojne stawu łono.  
Pocziwa jakaś brzoza  
swój bok podstawia grzecznie  
jak gdyby zapraszając

nas usiąść. Na brzeg lasu  
wychodzim. Szmata ornego  
czarnego pola kołem  
się wrzyna w boru szyki.  
Na końcu całe grono  
niby z kąpielu wyszłych  
dziewiczych brzózek białych;  
objęły się rączkami,  
splątały warkoczami  
i stoją nagie dumne  
i czyste. Czarująca  
brzóz była grupa. Las znów  
zgnębiamy — już z powrotem.  
Apetyt podrażniony  
gdzieś — w głębiach naszych jestestw  
zażarcie protestuje.  
Szyderczo błysnie woda,  
zaśmieje się czereda  
topoli, osin, wiązów.  
Więc miłosiernie spojrzę:  
„Czy nie czas już odpocząć?“  
„Nie, nie chcę!“ Z rezygnacją  
ramiony wzruszę: — „chodźmy!“  
Ogarniam wzrokiem postać  
dziewczęcia. Wdzięczna, wiotka!  
„Hej całowałbym ciebie,  
hej wypieściłbym!“ dłonie  
wyciągam, żeby dotknąć  
jej ciała pod pretekstem  
pomocy w przeskoczeniu  
przez duży pień spróchniały.  
Gorąco mi, głód czuję,  
zmęczony jestem, jednak  
wesoło mi. Żartuję,

zabawne opowiadam  
przygody, dykteryjki...

-----

Lecz nagła cisza w lesie  
przerwała opowieści.  
Wiatr uciekł rozżalony.  
Zasłonę z chmur tęczowych  
nasuwa szybko słońce  
na okrąg promienisty  
oblicza swego. Kurzu  
złotego szlaki zbladły.  
Ponure, nieruchome,  
bez oznak życia, stały  
szeregi ciemnych kolumn.  
Ni listka zielonego,  
ni szczebla trawy młodej.  
Ze smutnym głuchym szmerem  
czepiają się do nogi  
zczerniałe liści zwłoki.  
W ściśniętem trwożą gardle  
uwięzły słowa. Letarg  
panuje w tej krainie  
martwoty i senności;  
bazyliżkowym wzrokiem  
spogląda na wesołość  
lub radość wszelkich istot,  
wypłasza ją, zatrzuwa  
i postrach niepojęty  
na serce drzące rzuca.  
Wiew chłodny w tym powietrzu  
bez ruchu wisi, — zastygł.  
Wzdrygnąłem się. Pośepny,  
ze wzrokiem osłupiałym,  
utkwionym w trupy dębów,

w zmartwiałą stal niebiosów  
zamarłem w tej pustyni  
milczenia grobowego.  
I moja towarzyszka  
z wyrazem lęku w twarzy  
skinęła pytająco.  
Odpowiedziałem gestem  
i jednym słowem: „martwo!“

-----

Promienna rzeka słońca  
przebiła trumnę chmury.  
Dzielnica inna boru  
w powodzi złotej tonie.  
Wypogodziłem prędko  
zmarszczone troską czoło.  
Jak dzieci, świeżym puchem  
rozpęktych drobnych pączków  
usiane, krzaki tulą  
do lśniących drzew konarów.  
Akacjom na gałęzie  
zleciały lekkie chmurki,  
welony mgieł rozwiewnych,  
— niemowląt listków gawiedź.  
Tak przystrojone stoją  
oblubienice śliczne,  
do ślubu przystrojone.  
Świętuje gody Życie!  
Nadciąga „niepodległa“  
siostrzyczka moja z ducha.  
Wtem śmiechem bezprzyczynnym  
buchnęliśmy oboje.  
A słońce do zachodu  
potężnym krokiem wali.  
Nareszcie, o uciecho!

mam miejsce upatrzone.  
Pocziwa stara wierzba  
tam nad parowem dzikim  
konarem całym zwisa  
jak gdyby python siwy,  
co oparł się ogonem  
na jednej stronie, pchnięciem  
potężnym przerzucając  
pierścienie połyskliwe,  
a groźne na brzeg drugi.  
Lub jeszcze, — jak mocarza  
z żył i mięśni ręka  
w okropnem wysileniu  
przez parów sięgająca.  
U stóp tej starowiny  
spożyliśmy doszczętnie  
coś niecoś z darów bożych.  
Huknęliśmy też, wiwat!  
w cześć boru gospodarza.  
„A teraz za mną, śmiało!“  
i zwinnie, choć ostrożnie  
wślizguję się na łono  
wygięte starowiny.  
I cóż powiecie? Lola  
wstępuje w moje ślady,  
lecz po trzech krokach siada,  
gwałtownie obejmując  
pękata kibić wierzby  
i piszcząc: „Ratuj! padam!“  
„Odwagi, — pełnij dalej“, —  
zachęcam. „Aj, nie mogę!“  
„Ależ!“ „Nie mogę!“ „Lolo,  
podszyta tchórzem jesteś!“  
„Upadnę zaraz, ratuj!“



„Jeżeli tak się boisz,  
powracaj na ląd twardy.“  
„Nie mogę, bo się lękam.“  
Znalazłem się w kłopotcie:  
obawia się w tył spojrzeć,  
a jeszcze bardziej naprzód.  
Groźbami wreszcie zmożłem  
czcigodnej panny upór;  
przyrzekłem mianowicie  
ją z drzewa strącić w otchłań  
niezmiernej głębokości!  
(do trzech lub czterech łokci.)  
Czołgając się pomału,  
ciągnąłem ją za sobą.  
Wrzasnęła cienkim głosem:  
„już lecę, lecę, gwałtu!“  
Szczęśliwie wszakże podróż  
skończyła się. Ze swego  
zadowolony losu  
ująłem lewą ręką  
jej kibić delikatną,  
by chronić, naturalnie  
Loluchnę od spadnięcia.  
Spodziewam się, że jestem  
właściwie zrozumiany. —  
Oddawna z altruizmu  
słyszałem w całym świecie.  
„Przeczytaj mi cokolwiek.“  
po chwili poprosiła.  
I tchnienie lekkoskrzydłe,  
co z ust zleciało Loli,  
zatrzepotało w czubkach  
bladzielonych boru.  
Bóg słońce w złotej glorii

kochankę-ziemie wieńczy  
ognistym wieńcem chwały.  
Ćwierkało coś, wiatr szemrał,  
— pozatem spokój wielki.  
Czytałem rzecz, co z serca  
trysnęła mi w godzinę  
krwawego bólu. Drzewa  
szumiały żałośliwie,  
a z dołu kwiaty z rzewnym  
współczuciem spoglądały.  
Zdławiło coś mi gardło,  
zadygotałem nagłym  
i szybkim silnym dreszczem.  
Jak często w takich chwilach  
wrażenie mam, że zimną  
przeznaczeń widzę kartę  
i nagły wyrok zgonu.  
Nie skończyć pracy mojej!..  
— wulkanem być, burzącym  
przesądów stare światy,  
i zginąć przed wybuchem...  
— nie cisnąć w dzikie haszcze  
filisterskiego bytu  
płomiennej i gryzącej  
pożogi moich myśli...  
ukochać sercem Naród,  
— na progu czynów upaść...  
„Mój orle, co też z tobą?“  
zapyta z niepokojem  
wyraźnym Lola. Blednie,  
to znów rumieńcem krwawym  
oblecze się. Wzruszona  
mą rękę chwyta, silnie  
potrząsa nią. „Ach! widzisz,

jak cały drzysz, mój orle!  
To wszystko uczyniło  
czytanie.“ „Porzuć, Loło,  
swe troski o mnie; seryo  
spokojny jestem. Dreszcze  
przemina zaraz.“ Wolę  
wyteżam, byle jakoś  
podołać podłym nerwom. —  
Daremnie! Licho siedzi  
i trzęsie bez litości.  
Zmór rozpasany motłoch,  
jak zgraja wściekłych gadzin  
opada mózg: rozdziera  
go, szarpie, gryzie, truje.  
Wtem Lola się nachyla  
i szybko a serdecznie  
całuje mnie. „Ja marzę,  
czy śnię?“ zdumiony myślę,  
lecz Lolę mocniej tułę.  
„Uspokój się, kochany  
orliku mój najdroższy!  
Co ci jest? przestań drzeć tak!“  
wzburzonem głosem szepcę.  
„To mara, majaczenie  
na jawie, — nie inaczej.“  
układam sobie w myśli.  
„O, ty! dziewczyno słodka!  
Ach!“ rozdzwięk zgrzytający  
zatargał głębią duszy.  
żałuje mnie, — o zdrowie  
obawia się. Nic więcej?  
Siostrzany pocałunek!“  
(pragnąłem wszak innego...)  
By zgłuszyć głos niemiły,

na pierś jej kładnę głowę,  
a ręką równocześnie  
jej kibić podtrzymuję, —  
by nie spaść jakoś z drzewa.  
„Ty znowu drżysz? Ach, przestań!  
No, proszę ciebie: — bardzo.“  
Ostrożnie głowę w lewo  
zaczynam zwracać tam, gdzie  
kraśniały warg maliny.  
Na twarzy wyraz bólu  
nietknięty zachowuję.  
„Czy uda się powtórnie  
całusa od niej dostać?“  
I chociaż smutek jeszcze  
nie cofnął swych zagonów,  
zawzięcie kombinuję,  
czy wybieg się powiedzie.  
Spotkałem usta Loli.  
Pocałowała, ale  
przelotnie, nieuważnie,  
jak gdyby całkowicie  
czemś innym pochłonięta.  
Me dłonie ściska, wstrząsa  
i pukle włosów pieści.  
„Ach, nie drżj. Weź się w ręce,  
do czegoż to podobne...“  
Płonącym wiankiem dłoni  
oplotłem Lolę czule,  
a głowę przytuliłem  
do rozpalonej twarzy  
wiośnianki mojej lubej.  
„Loluchno droga, powiedz,  
cichutko szepczę, „czemuś  
dziś mnie pocałowała?“

„Doprawdy? Pierwsza? Niewiem?“

„Hm, szelma! nie chce mówić.

Wacława pewno kocha,  
a mnie? czy kto zrozumie  
kapryśne kobiet serce?

Współczuje — rozczulona  
cierpieniem moim, smutkiem.

Przyjaźni trochę, dużo  
szacunku, ale czegoś  
większego, — któż to zgłębi?

A ona pragnąc pędzej  
ukoić moje dreszcze,  
przyciska mnie do łona,  
pieściwie głaska dłonią.  
W zachwycie błogim tonę.

- - - - -

Czarniawe pnie akacyj,  
jarzące się lichtarze  
miedzianych wielkich sosen  
i liczne rzesze innych  
filarów ojca boru  
w marzeniu drzemią złotem,  
na słońcu grzejąc boki  
i mrużąc dobrodusznie  
mirjady rzęs zielonych.  
Jesiony drobnuśkiemi  
ząbkami listeczkami  
czatują na powietrza  
rozlewny słodki nektar.  
Wiosenne śpiewy, szumy.  
Kasztany — piórkiem liści  
przechodniów delikatnie  
wachlują. Las pocichu  
zaczyna śpiewać. Liście

na górze dźwięczą czule,  
jak wioliny harfy;  
gałęzie i konary  
brzmia poważniejszym tonem.  
Leszczyna i tarnina,  
zgryźliwe głogi — dzwonią  
kapelą z dzwonów, dzwonków  
dzwoneczków różnych tembrów.  
Przyleciał wiatr kapelmistrz  
wziął miast batuty długą  
gałązkę srebrnej brzozy  
i podniósł. Cisza. Skinął.  
Więc najpierw wioliny  
cudowną szemrzą gędźbą,  
prześciągłe, doskonale.  
Mignęła znów batuta.  
Kapela dzwonków bucha,  
a do nich śpiew poważnych  
basowych strun dołącza  
czcigodne grono grajków  
olbrzymów niebosiężnych.  
Z ziemi przesączyły się  
melodyi dziwnych nuty,  
jak gdyby las fiołków  
z najsubtelniejszą wonią.  
Ze wszystkich grajków boru  
szczególnie jedna brzoza  
uderza w bólu tony, —  
strzepnęła gałązkami,  
roztkliwia się nad losem  
i śpiewa swoje żale.  
Westchnęły inne brzozy,  
a tamta zawodziła  
ogromnem srebrnem łkaniem.

Zmieszali się orkiestry  
borowej muzykanci,  
splątali nuty, głosy  
i każdy własną skargę  
zazumiał tak, jak umiał.  
Wiatr zrozpaczony trzęsie  
batutą, wymachuje, —  
grajkowie jednak wszyscy  
nań więcej nie zważają.  
A wtedy dla ratunku  
pozorów chociaż swego  
kapelmistrzostwa, naraz  
wiatr wiolinom mruga,  
przesyła znaki basom  
i na dzwoneczki kiwa...  
A każdy odtąd śpiewa  
jak serce, dusza żąda,  
na cały głos lub zcicha,  
wesoło albo smutno.  
Wnet wiatr, jak opętany  
ułapił młodą, piękną  
topołą za warkocze  
i targa z rykiem gniewu,  
a potem rzuca nagle  
i wałąc łbem o drzewa,  
zaszyje się w głąb lasu.  
I oto huczą dzieci,  
starego boru dzieci.  
Szerokie morze szumu  
swe fale zewsząd toczy,  
a na tle gromu, huku  
dzwoneczki brzęczą krzaków,  
brzmi chórął fijołkowy  
tajemnych mocy ziemi.

-----

Już w głowie mej królują  
melodye cudne lasu;  
zamieniam się magicznie  
w latorośl leśną także,  
dołączam głos swój także...  
a swemi konarami,  
listkami, gałązkami  
ogarniam mocno, mocno  
lecz rzewnie i nieznacznie  
przewiotką kibić Loli.  
I taką ciepłą falą  
życzenie we mnie wzbiera  
posłyszeć z ust jej: „kocham“,  
że szepcę: „powiedz, Lolo,  
najwięcej kogo lubisz?“  
„No, naturalnie Baškę.“  
(jej dawna przyjaciółka.)  
Odpowiedź przezuwając  
ze złością, pytam znowu:  
„Następnie zaś Wacława?  
Nieprawdaż?“ Ze zdziwieniem  
odeprze Lola: „Ależ!  
po Bašce — lubię ciebie,  
Wacława później chyba.“  
„Doprawdy? bo myślałem,  
że go najwięcej lubisz.“  
„O! nudny! mówię, — ciebie.“  
Więc ucieszony mile  
z zachwytem mruczę: „Zaco  
mnie, Lolo, polubiłaś?“  
i czekam z rozczuleniem  
nieśmiałych słów wyznania  
uczucia tajonego.



Z paluszkim przyłożonym  
do noska Lola duma.  
Skupienie i milczenie.  
„Hum, widzisz“ — zacznie zwolna,  
rozważnie, zamyślona.  
„Już zdawna szanowałam  
i podziwiałam twoje  
zdolności, umysł, wolę.  
Lubiłam trochę zawsze  
kolegę czcigodnego...  
dlaczego jednak dzisiaj  
pocałowałam ciebie?“  
przerwała. Nastroszone  
brwi, zmarszczki na jej czole  
świadczyły o usilnej  
myślowej pracy. „Miłość  
ojczyzny w twoich pismach,  
uczucia krwawe kiry...  
następnie dreszcze dziwne  
wzruszyły mnie, wzburzyły,  
i sama nie spostrzegłam,  
jak całowałam ciebie“.  
„A więc przypadek, litość!..  
szacunek — i nic więcej!“  
z goryczą pomyślałem.  
„I wiesz co?“ — z ożywieniem  
nawiąże nić rozmowy, —  
„nie przypuszczałam nigdy,  
że się odważę sama  
całować kogoś seryo!  
I gdyby nawet Wacław  
lub ktoś ze znajomych mężczyzn  
na twojem byłby miejscu?...  
Nie, nie!.. a może... nie wiem!..“

sceptycznie wzrusza głową.  
„Pocałuj mnie, pocałuj!“  
Ognisty pocałunek.  
Jak grom pieśń boru huczy  
Melodya szumów leśnych,  
jak morze swe bałwany  
to wznosi, to ucisza.  
W uścisku silnym żale,  
niechęci zapominam.  
Co było, jak, dlaczego? —  
czyż nie jest obojętnem,  
jeżeli dzisiaj kocha.  
„Najdroższa Lolus, powtórz,  
czy w rzeczy samej więcej  
mnie lubisz, niż Wacława?“  
„Tak, orle. Seryo, seryo.  
Tyś pierwszy przecie, który  
całujesz mnie inaczej,  
niż matka, brat lub Baśka.  
I rozmarzona wspiera  
na mem ramieniu główkę,  
a dłońmi tuli, pieści,  
do piersi swej przyciska.  
„Orliku mój! I za co  
całuję, pieszczę ciębie?  
— Wiem, urok lasu skusił.  
Tak ślicznie tu dokoła  
Las mruczy, gada, śpiewa,  
— zakłęcie rzucił na mnie.  
Las zaczarował! Mój ty!“  
„Tak mocno lubię srogą,  
a filuterną pannę, —  
tak mocno... droga, Lolus!..  
w rozkosznem roztkliwieniu

pocichu mruczę do niej...  
I nagle, gdyby promień  
słoneczny z rąk mi błysnie  
wykona fantastyczny,  
a lekki zwinny skok i...  
ucieka chyżym lotem,  
ciskając śmiechu dzwonki  
srebrzyste poza siebie.  
„Orliku, dopędź, złapaj!”  
Przez moment osłupiałem,  
lecz w chwilę później rzutem  
potężnym z wierzby skoczę  
i w pogoń mknę, po zdobycz!  
Naprawdę uciekała  
i kryła się za krzaki,  
przedemną umykała,  
jako przed orłem ptaki  
strwożone, hej napróżno!  
Schwytałem ją ramieniem,  
jak czepkich lian pękiem  
i oplątałem kibić!  
Jak dzieci, śmialiśmy się  
i całowaliśmy się.  
Uniosłem mą dziewczynę,  
na rękach ją lulałem  
jak matka swą dziecinę,  
choć innego chciałem.  
I wiatr nam gruchał czule,  
patrzac, jak Lolę tulę,  
i brzozy zawodziły —  
nam widać zazdrościły.  
A tam na niebie słońce  
ze złości rozbeczało,  
strumienie łez zarzące

na las i nas przełało, —  
i z twarzy starowiny  
rumieńców smug ceglisty  
na drzew wierzchołki bluzga  
swe piany pozłociste.  
W pośrodku złota, różu,  
czerwieni, szumów, śpiewów  
i jaśnień młodych listków,  
i kornych szmerów krzaków  
w objęciu, milcząc stoim  
zdumieni swem uczuciem,  
badając się nawzajem  
wnikliwym jasnym wzrokiem.  
Zaduma krótko trwała.  
Ze śmiechem, z okrzykami  
biegamy na wyścigi;  
uciekam, — ona goni —  
już, już w jej ręku jestem...  
fajt w stronę! „Ach, Orliku!“  
odwracam się i wpadam  
na groźną myśliweczkę,  
obcałowuję rączki,  
twarzyczkę, szyjkę śliczną.  
Gwarzyliśmy, chodzili.  
A noc, zgrzybiała macierz  
i dziewczę w kwiecie wieku,  
przez sitko zboże czarne  
na ziemię sieje mroków;  
i coraz chyżej, gęściej  
spadają czarne ziarnka,  
mieszają się ze złotą  
kurzawą, co nad nimi  
unosi się słonecznie.  
O zmroku święta cisza

zalega puszcze leśne.  
Milczące miękie liście  
jak ciało przenajświętsze  
cześć budzą, rozrzewniają.  
Pieścimy się z listkami,  
pędami krzaczków, kwiatów.  
I błoga cisza — w sercu,  
jak napój dobroczynny.  
ukaja gorycz, smutek.  
Obwijam ręką kibić,  
z pagórka zstępujemy  
w dolinę krętą ścieżką.  
Z lubością czuję ciężar  
kochanej mej dziewczyny,  
co wspiera się z ufnością  
na mem ramieniu — swoim  
pieściwie i ostrożnie  
mnie obejmując. Wówczas  
łamałbym drzew konary,  
wyrwałbym krzaki, trawy,  
urwiska i pagórki  
zrównałbym, byle tylko  
uczynić coś miłego  
dla Loli. Co tam mówić!  
Z niebieskich modrych kwiatów  
gwiazd niezapominajek  
narwałbym bukiet dla niej.  
I często bez powodu  
wesoło i serdecznie  
do siebie śmialiśmy się.  
„Loluchno!“ „Orlik drogi“.  
„Więc lubisz trochę?!“ „Mocno.  
A ty?“ „Ach, bardzo, bardzo“.  
I mnie pokochasz Loluś?“

„Orliku, nie wiem, seryo.  
Nikogo nie kochałam..  
Tyś pierwszy mnie całował...  
być może, że pokocham,  
a może nie... i zresztą  
odpowie przyszłość na to.“

I teraz nie ubodły  
mnie słowa przekornego  
dziewczęcia sceptycznego.  
Tak lepiej. Bez przesądów,  
obietnic, przysiąg, kłamstwa,  
swobodnie, jak ten wicher,  
polubić lub pokochać  
i rozstać się bez żalu  
z szacunkiem i wdzięcznością,  
jak przyjaciele szczerzy,  
jak niepodległych dwoje!

-----  
W głąb zanurzyliśmy się  
starego druha lasu,  
a on na pożegnanie  
nam rzuca pieśń przyjaźni,  
i pośród gwarów pieśni,  
rosnącej coraz bardziej  
kroczymy, zasłuchani.  
Gwar wzrasta, huczy, gromem  
rozlega się wokoło.

„Żyj długo, borze stary,  
coś na nas rzucił czary...  
I płynie miesiąc błądy.  
Obudził się strumyczek  
i pieści chciwie brzegi,  
więź pnączów księżycowych  
promieni obejmuje

namiętnie drzew kibicie.  
Wiatr muska krzaki, zioła,  
miłośnie ściska brzozy,  
warkocze im zaplata  
i wiotką białą postać  
oblewa strugą srebrną  
księżycowego światła.  
Las namiętnością kipi,  
wiosenną tkliwą, jasną.  
„Kochajcie się, kochajcie!“  
„O Lolo, las czaruje!“  
W oddali ognie miasta  
Daleki grochot jazdy.  
I tłumów ludzkich mrowie.  
Serc bicie przyśpieszone.  
Rumieńców blade róże.  
Fijołki wonne wzroku.  
Powietrza rozedrgane  
tętniące życiem prądy.  
Wiosenne wino. Życie!  
„Kochajcie się, kochajcie!“  
„O Lolo, las czaruje,  
bo w głowie mi wiruje!“  
Precz gorycz wahań, strachy!  
Co powie świat, nie powie —  
szydlerczo gwizdnać na to!  
Życ — jest to czuć i myśleć,  
Życ jest to tworzyć światy!  
Obludy złamcie więzy,  
o niepodlegli moi!  
Potęgą karmcie ducha,  
Kochajcie piękno ciała  
i życie całą pełnią!  
„Kochajcie się, kochajcie!“

„O, Lolo, las czaruje, —  
bo w głowie mi wiruje,  
O Lolo, w sercu także!..  
O, Lolo... las... czaruje.  
O, Lolo... Lolo... Lolo...



WAYDELOTA.

# CONTENTS

## ZNAMIEŃ KAINOWE.

Widział przeznaczenia utarte koleje,  
którymi od wieków wciąż krąży i bieży,  
że przyszłe losy i przeszłe dzieje,  
że przyszłość jego w przeszłości leży...

i widział, jak z tropy pragnęli ubitej  
zepchnąć stare światy i ślady orbity  
zniszczyć utartej i wskazać nowe  
koleje — widział wysiłki płowe...

widział a marzył: swoje mirażę  
wyrwę ze szponów ciemni i wskażę  
światu inne drogi w inne krainy...

i wzniosł się do góry... spadł na niziny...  
i leżał jak martwy na ziemskim padole,  
aż znamień on uczył: człowiek — na swem czole.

## WROGIE MOCE.

### I.

Jaśniejący Ahura-mazda, któremu piersi rozszalały szczęście i radość, zasepił promieniste czoło swoje i rzekł sam do siebie:

— O jasny, o wszechpotężny Ahura-mazdo, co żeś ty wszechmocny, gdy nie masz śladu potęgi twojej, że jesteś szczęśliwy, gdy nie masz z kim szczęściem się podzielić; co z tego, że ty jesteś dobry, gdy nie masz na kogo złać owoców dobroci twojej; jesteś chwalebny — nikt twej jasności nie podziwia, jesteś mądry, a nikt twej mądrości nie uwielbia, jesteś jaśniejący, a nikt twojego blasku nie widzi.

Westchnął promienisty Ahura-mazda i jednym skinieniem wszechpotężnej woli stworzył cały świat, ubrał go w szatę zieleni, unizał perłacemi zdrojami, rzekami, płynącemi wśród kwiecistych dolin, kwitnących błoni. Alabastrowe szczyty gór tryskały mirjadem tęczowych barw, siały snopy brylantowych skier...

I rozradował się wielce Ahura-mazda, spoglądając na przepych stworzonych światów, a czuł, że serce jego wezbrało jeszcze większem szczęściem, nową rozkoszą stwórcy wielbiącego dzieło rąk swoich.

I rzekł wtedy Ahura-mazda w sercu swoim: „oto stworzę duchów podobnych sobie, niech patrzą, niech radują wzrok swój tym przepychem i niech piją pełnią piersi rozkosz, którą ja piję“.

I stworzył duchów świetlanych jak on sam.

I zaczęły duchy dniem i nocą krążyć naokoło ziemi, podziwiać piękność świata, śpiewając bezustan-

nie: „Wielki jesteś w dziełach swoich, promienisty boże Ahura-mazdo, ojcze nasz! chwała ci!”

Odtąd wiecznie, aż do dnia dzisiejszego, krążą duchy naokoło ziemi, podziwiają piękność jej, wielbiąc mądrość stwórcy, dają dobre rady i kierują losami nieszczęsnych braci swoich na ziemi.

I zowie lud te duchy przeczyste — gwiazdami.

O święte, o jasne duchy niebios, kierujcie krokami naszymi według woli wszechmocnego Ahura-mazdy, chwała któremu niech będzie na wieki.

I ujrzał Bóg szczęście stworzonych duchów, ujrzał, że byli piękni jako on— i rozradował się wielce dobry Ahura-mazda, a serce jego silniej wezbrało rozkoszą...

I uśmiechnął się uśmiechem ojcowskim promienisty bóg i rzekł do otaczających go duchów: „O duchy jasne, przyjaciele moi, stworzyłem was na obraz i podobieństwo swoje. Wyście szczęśliwi, lecz oto pierś moją rozsada pragnienie nowych rozkoszy; szczęście, które nosimy w sercach naszych, nie daje nam pokoju; przepelniona jest czara rozkoszy i zaciążyła nam w rękę. Uszczęśliwmy więc kogo, ktoby nam ulżył, podzielił się tem szczęściem, które czujemy w sercach naszych... Piękna jest ziemia, którą codziennie oglądają oczy wasze,—kwitną cieniste tam drzewa—nie cieszymy siebie ich cieniem, dojrzewają owoce — nam niepotrzebne i giną bez korzyści. Oto stwórzmy istoty podobne nam i umieścmy je na ziemi, by pośiały ją w szczęściu, w rozkoszy...

I odrzekły duchy: „Wielki jesteś, wszechwiedzący Ahura-mazdo, ojcze nasz! dobroć twoja bez granic, niech się stanie według słów twoich“.

I stworzył Ahura-mazda człowieka.

I umieścił go w rozkosznej dolinie, którą nazwał Airyana-waedży, kolebką ludzi, świątynią swoją. Otoczył dolinę ową promienisty Ahura-mazda z trzech stron górami, podpierającemi szczyty swemi niebo, i kazał słońcu roztoczyć mirjady skier, miliony tęcz nad ich czołami posiwiałemi. Rozkazał wiecznie zieleniejącym, wiecznie kwitnącym drzewom, roślinom i kwiatom okryć stoki ich. Czerniały w podobłocznych szczytach jodły, wysoko wznosiła harde swe czoło sosna; niebotyczne świerki, rozłożyste dęby dumnie spoglądały na otaczający świat; tam niżej widniały brzozy, rozciągały się gaje lipowe, złociły pomarańcze, soczyste palmy... Niemilknące chóry ożywiały gąszcze te...

Krainą rozkoszy, wieczną wiosną uczynił Ahura-mazda Airyana-waedży i tam umieścił pierwszych ludzi.

Wodną przestrzenią zamknął dolinę Ahura-mazda. Morze, niezmacone gwałtownemi podmuchami wicherów, wabiło wzrok bezkresną tonią. Gdy holowało na swym grzbiecie czółno z kory drzew, ostrożnie niby matka dziecię niosło je po adamaszkowo-lśniących obszarach, pieściło niszystą skorupę jego, tryskając dookoła barwami...

Cudny świat, cudne dzieło rąk wielkiego Ahura-mazdy!

Człowiek promieniejący szczęściem, podobny bogom, pełen spokoju, zamieszkał krainę tę, ożywił gaje i pełnią piersi zażywał rozkoszy niebiańskich...

I rozradowały się duchy świetlane i jeły wychwalać potęgę i mądrość Ahura-mazdy, a do ich chóru dołączył człowiek głos pełen wdzięczności i uwielbienia — i wielka była chwała Ahura-mazdy... I rozradował się wielce promienisty bóg, i wesołem dobrotliwym okiem patrząc na świat swój, błogosławił mu

— człowiekowi, duchom i wszelkiemu stworzeniu swemu; błogosławił — i spoczął.

Mijały wieki za wiekami, a błogosławiony spokoj panował na świecie, nieprzerwany, niezmacony... Nic się nie starzało, nic nie cierpiało, nic nie umierało — i nic się nie rodziło.

Spokój i szczęście bez granic rozciągnęło panowanie swoje...

O wielki, o dobrotliwy boże pokoju, promienisty Ahura-mazdo!...

Chwała Tobie!

## II.

Przez mroczne otchłanie posępnego królestwa swojego szybował odwieczny Anro-manju. Królewskie jego skrzydła, okolone pasmem błękitnych płomieni z jękiem piorunów przecinały od wieków, bez przerwy tonie niebytu. Skroń mu otaczał wieniec splatających się błyskawic. Wzrok jego, pełen zniszczenia i wicherzących burzy, przenikał mroki, co go otaczały, a żadnych śladów ani spotykał, ani pozostawiał... mknął jak orkan, jak huragan...

...Zdala zamigotały słabym drgającym świetlanym punktem słoneczne światy wszechpotężnego Ahura-mazdy. Z utkwionym wzrokiem bezwiedną stopą poszybował Anro-manju ku nim...

A gdy stanął na szczytach gór, okalających Airyana-waedży, otoczony błyskawicami, stanął i spojrzął — a spojrzenie jego jak błyskawica od krańca do krańca przeszło królestwo Ahura-mazdy, królestwo w pełni powabu i blasku — ujrzał duchów przeczystych, spokojnie bujących w jasnych świetlanych obszarach, ujrzał ludzi bezpiecznie spoczywających w mi-

łosnych uniesieniach w cieniu palm, wśród kwiatów... ujrzał wody, morza — ujrzał szczęście, którego nigdy nie widział, nie znał... ujrzał i zrozumiał go. I ugodziło ono niby mirjadem pocisków piorunowych w nieśmiertelną skroń Anro-manju... Usta wykrzywił mu szyderczy uśmiech, w oku mignął ogień nienawiści, zadość, bólu... Uderzył skrzydłami, i mirjady błyskawic rozsypały się w powietrzu, przemówiły językiem śmierci i zniszczenia... zadrzały góry, zajęczały doliny, zapłakały obfitą łzą niebios; słońce przyćmiło blask swój, a duchy zerwały się przestraszone...

Uderzył skrzydłami i runął napowrót w bezkresne tonie śmierci... mknął coraz dale, coraz gwałtowniej spadał, a za nim leciały miliony ognistych węży, syczących, trzaskających... coraz głębiej, coraz dalej — aż się pograżył w mroczne otchłanie, znikł, aby więcej nie wrócić, by pozostać tam na zawsze, na wieki z rozpaczą swoją, z rozpaczą, ze śmiercią, z burzą..

### III.

Zadrzały niebiosy .

Zerwał się zdumiony Ahura-mazda... widział spadającego Anro-manju i przestraszonych duchów, zmaczony spokój światów jego, w niebiosach szalejące wichry, zbudzone skrzydłami Anro-manju; widział wzburzone morza, z rykiem wznoszące w górę spienione fale...

I rzekł wichrom: „uciszcie się!“ — i uspokoiły się niebiosy... długo jeszcze i boleśnie jęczały wichry wśród skał i urwisk górskich, skargą szumiały w ciemnych gąszczach odwiecznych borów.

I rzekł do mór: „Uspokójcie się!“ — i uspokoiły się morza... długo jeszcze, długo szumiały gniewnie



wne fale, ciszej, żałośniej, rzewniej, nareszcie z ledwie dosłyszalnym szmerem pędziły do brzegu, mniejsze, łagodniejsze, aż znikły zupełnie, i toń morską znowu się zaszklila...

Zdumiał Ahura-mazda i uczył we wszechpotężnem sercu swoim trwogę... On przeczuwał przez całe wieki tego straszego ducha... obawiał się ognistych jego spojrzeń... Czego tu chce!... Czego szuka tu, pośród świetlanych światów duch ciemności, pan zniszczenia?... chce-ż zagarnąć królestwo jego, Ahura-mazdy... nie, on nie odda mu na pastwę światów swoich! Przyszedł tu, do słonecznych światów, zamącił, poburzył je... zniszczył szczęście jego, Ahura-mazdy... Westchnął promienisty bóg i rzekł:

— Bądź przeklęty!..

Z niepojętą trwogą w sercu spojrział Ahura-mazda na otaczających go duchów: Oto wśród jasnych zastępów swoich ujrzał pochylone czoła, płonące źrenice, ponure spojrzenia...

I rzekł: O duchowie moi, przyjaciele moi, wdziedziście ducha, który przyszedł, zamącił ciszę królestwa mojego, zatrzał spokój światów moich...

I odezwały się tchnące rozpaczą głosy:

— Widzieliśmy!...

I popłynęły niby głuchy stłumiony poszum otchłani morskich, i potoczyły się niby pomruk piorunowy od krańca do krańca niebios...

Zdumiał promienisty bóg, zasępił swe jaśniejące czoło i rzekł groźnie:

— Niech będzie on przeklęty!... Zakazuję wam przekraczać granice mojego królestwa... Niech będzie przeklęty, kto pograży wzrok swój w otaczające otchłani mroków, kto będzie karmił się pokarmem śmierci!...

I przemówiły potężnymi głosami duchy, jak dotychczas nie mawiały, a od głosów ich zadrzały nie-

biosa, zafalowała ziemia i zbladło samo oblicze odwiecznego Ahura-mazdy...

I przemówiły duchowie:

— Stworzyłeś nas jaśniejącymi, zowiesz przyjaciółmi swojemi, obdarzyłeś nas szczęściem — czemu uczyniłeś nas niewolnikami swojemi...

— Czemu nie jesteśmy wszechmocni, wszechpotężni jak ty... Czemu osłoniłeś od nas mrokiem śmierci tajemnice swoje?...

— Czemu ukryłeś potęgę, tajemniczą siłę, której iskry wzniecił w sercach naszych duch nieznanymi krain...

— Czemu zabraniasz nam przenikać tam i czerpać pełnią piersi wszechmoc ukrytą...

— Znikło szczęście z powiek naszych, obudziły się serca nasze — i my cierpimy...

I wstał duch, który spojrział twarz w twarz Anromanju i rzekł do Ahura-mazdy piorunowym głosem:

— Rzucę ból swój pod nogi twoje i będę się piął przezeń do tronu twojego... aż posiadę tajnie twoje i będę bogiem jak ty...

I będę jak duch ów wolny, olbrzymi...

— Nie będziemy niewolnikami twojemi! odezwały się miliony duchów — będziemy jak ów duch, co spojrzeniem obudził potęgę, rozpętał kajdany, które nałożyłeś na stworzenie swoje...

— Bądźcie przekłęci!... Niemasz wam miejsca w królestwie mojem! zawołał Ahura-mazda.

I zerwały się te duchy, których przeklął wszechmocny bóg.

Od skrzydeł ich zbudziły się potęgi ziemi, rozpętały moce swe, zerwały się gwałtowne wichry... uderzyły na wyprężoną lśniąca toń morza, a ono przysło na tysiące fal, zajęczało i gwałtownie runęło na ska-

liste brzegi, rozprysnęło się w mirjady dżdżystych kropeł i ulewą lunęło na ziemię. Zaszumiły burze...

Od skrzydeł duchów zerwały się błyskawice... Zadrzała ziemia w posadach swoich, a niebo zawtórowało jej śmiertelnem echem zgrozy, przestachu...

Uleciały duchy i znikły w mrocznych otchłaniach śmierci...

Ze smutkiem ojca patrzył Ahura-mazda na zbłąkanych, z żalem w oku z wyciągniętymi rękoma, jakby pragnął zawołać, by wrócili do niego, jakby chciał ich wyrwać ze szponów śmierci...

Przeklęta niech będzie moc Anro-monju, co zamąciła spokój słonecznych światów...

— Bądźcie przeklęci wy — wszyscy, coście zachmurzyli jasne błękity niebios...

— Bądźcie przeklęci wy, coście zasępili promieniste czoło Ahura-mazdy...

— Coście rozpętali śmierć i zniszczenie...

Bądźcie przeklęci!...

#### IV.

Burze huczały...

I odwrócił Ahura-mazda rozogniony gniewem wzrok swój, spojrzął na wzburzoną ziemię, wyciągnął wszechmocną prawicę swoją na rozhukane wichry i rzekł:

— Bądźcie przeklęci...

I zamilkły wichry i schroniły się do otchłani górskich, zapłakały tam perlącemi strumieniami; i ukryły się na niebotycznych szczytach gór i zapłakały kryształowo lśniąca łą, która opadła na ziemię białemi płachtami...

Spojrzał Ahura-mazda na rozjuszone błyskawice, zmarszczył boskie swe czoło i rzekł:

— Bądźcie przeklęte wy, rozpetane moce śmierci.

Do wysokich pieczar ukryły się zleknione gromy tam łkając skargą, groźbą wstrząsają raz po raz posadami ziemi, szarpia łono swoje o wystające granity...

I uspokoiła się znowu ziemia, uciszyły się morza, zajaśniało słońce, zaskrzyło mirjadem tęczowych skier w dżdżystych kroplach, całujących miękie soczyste liście; złocistą purpurą zarumieniło się w gładko lśniących głębiach mórz, zadrgało złotymi kolumnami w płynących wodach świętych rzek, zaperliło w warczących górskich strumieniach... Jasny błękit odstonił niezmierzone otchłanie swoje, takie czyste, łagodne, spokojne...

I spojrział Ahura-mazda i ujrzał, że świat jego jaśniał przepychem młodości, jakim dotąd nigdy nie jaśniał, tryskał uroczym spokojem, jakim nie tryskało odwieczne czoło Ahura-mazdy, kwiecił się szczęściem, radością, jak gdyby duch śmierci tu nigdy nie gościł...

Ujrzał wszystko Ahura-mazda, rozradował się mocno, że światów jego nie tknął wzrok Anro-manju, rozpogodził promieniejące czoło i uspokoił serce swoje...

Zwycięską stoczył walkę... światy jego jaśniały przepychem, powabem, jakimi nie jaśniały w pierwszym dniu stworzenia...

Gdy słońce stanęło na krańcu ziemi, gdy wszelkie tchnienie zamarło, gdy kwiaty zaśpiewały, gdy drzewa przemowiły wielkie słowa miłości, Ahura-mazda, otoczony mirjadami jaśniejących duchów, roztoczył skrzydła swoje nad usypiającym światem, odmłodzonym, zwycięskim...

Spójrzął na Airyana-waedży... spojrzął na zaludniające ją ludy... ujrzał ożywione ogrody, ujrzał w cieniu rozłożystych drzew spoczywających mężczyzn i niewiast, spokojnych, szczęśliwych... Wszystko jak tego pragnął dobry Ahura-mazda.

Spójrzął, — uśmiech łaskawy oświecił dobrotliwą twarz promienistego boga, wyciągnął wszechpotężną prawicę — i błogosławił im...

Tam na brzegu morza siedzi nieliczne grono osób, otaczając dokoła męża stojącego w środku. Mąż ów mówił, słowa płynęły jak płyną fale za falą, a wszyscy go słuchali... I mówił mąż ów o tych obszarach morskich, gdzie błękit niema kresu, mówił o bezdennych otchłaniach, szklących się jak to niebo ponad głowami, bez końca, bez granic... mówił o krajach kwiecistych, przecudnych, do których drogę zalegają te lśniąca tonie mórz... mówił o dziewiczych lasach, szumiących nieznane pieśni, o stepach falujących jak morze, o kwiatach, o drzewach, o zwierzętach, o cudach nieśnionych, co się gnieźdzą za temi górami... Mówił i tęsknota rosła, potężniała w sercach u tych, co słuchali słów jego...

Spójrzął na nie Ahura-mazda, lecz nie usłyszał tej skargi, którą śpiewały ich piersi, nie pojął tej modlitwy, którą szeptały ich serca, i błogosławił jeszcze raz tym co spoczywali w cieniu drzew i tym co siedzieli na brzegu morza... Błogosławił ludziom i wszelkiemu stworzeniu...

Błogosławiony bądź niepojęty, wszechpotężny dobrotliwy boże, wielki Ahura-mazdo, teraz i na wieki..

O jasny, o wspaniały władco słonecznych światów...

O dobrotliwy ojcze ludów!

Bądź błogosławiony!...

## V.

I spoczął znowu Ahura-mazda... Duchy znowu krążyły naokoło ziemi i strzegły kroków ludzkich.

I płynęły dnie za dniami, aż pewnego razu zerwał się Ahura-mazda zbudzony jękiem, co napęłnił przybytek jego... spojrzął na ziemię, dobrotliwe oko jego zapłonęło pożarem gniewu: ujrzał odwieczne drzewa padające pod ciosami, i wielkie zamieszanie na ziemi... Tam wysoko, na odwieczne posiwiące szczyty śnieżystych gór pięli się ludzie; na powiązanych tratwach, na łodziach z pni niebosiężnych olbrzymów leśnych powypalanych, przecinały tłumy błękitne tonie bezkreśnych przestrzeni morskich... tam skupione niby stado owiec płaczem i jękiem napęłniały powietrze niewiasty, wzywając za tymi, co uchodzili i błagając ratunku u dobrotliwego Ahura-mazdy...

I zrozumiał bóg, że jad śmierci, co nawiedził światy jego, głębokie zapuścił korzenie na ziemi... posmutniało i zasępiło się oblicze jego.

I przerzucił bóg siedmiobarwny most z nieba na ziemię i zeszedł sam do ludzi. Zeszedł i spytał tych, co rąbali odwieczne drzewa, co wiązali olbrzymie tratwy, co przecinali bezkreśne przestworze mórz, spytał, zasłoniwszy twarz swoją.

— Dzieci moje, czy wiecie, co czynicie?...

I odrzekli: pragniemy zmierzyć te obszary, które rozlałeś po ziemi, nasycić wzrok swój bezkreśnym błękitem, który rozciągnąłeś nad morzem, pragniemy ujrzeć te kraje, te lasy, te doliny kwieciste i wszystko, co ukryłeś od nas za temi morzami...

— Ciężko nam, duszno nam w krainie tej... Duch nasz wylata tam, gdzie oko pociągają za sobą

te wodne przestrzenie, i wabią jakąś tajemniczą potęgą, nieznanem szczęściem ducha naszego w dal...

— My chcemy poznać, co ukryłeś od nas, do czego ciągnie nas nieznaną siłą...

— Do lasów dziewiczych, do stepów kwitnących! Naprzód, naprzód — zagrzmiął potężny chór głosów ludzkich i popłynął heł, ku góróm, ku niebu, aż echem zbudzone zerwały się wichry, a ujrawszy promienistą postać boga, z jękiem napowrót skryły się do przepaści.

— Kto wam to wszystko opowiedział? — spytał marszcząc boskie czoło Ahura-mazda...

— To już dawno spało w sercach naszych, od czasu gdy pierwsza burza zaszumiała nad nami. Myśmy podsłuchali wszystko, co ona mówiła światu całemu — i pojęliśmy wszystko.

— Myśmy długo cierpieli — lecz brak nam siły znieść dalej te katusze...

— Myśmy długo spali jęcząc — aż przyszedł ten oto mąż, który śpiewa nam pieśni o krajach tych, dokąd dążymy, który zna ten skarb nieznanym, w którego sercu płonie święty ogień i mówi mu te myśli, co goszczą w sercach wszystkich...

— Czy wiecie, co znajdziecie za temi morzami? — rzekł bóg wskazując na obszary morskie, wabiące w dal szklistą swoją powłoką — nie stepy kwitnące, nie lasy odwieczne, lecz piasek, pustynie, lecz bagna skute mroźną dłonią. Nie wiercie mu, bo kłamie serce jego...

— Ciężko nam w krainie tej! My pójdziemy w dal, w dal..!

— Czyż mało wam szczęścia?... Ja was obdarzę większym...

— Gdzie nasze szczęście? My nie chcemy być równymi zwierdom, grząść w szczęściu ciała, my chcemy być duchami jak te, co otaczają ciebie, co krążą z tobą w tych błękitnych obszarach...

— My pragniemy być bogami, jęknął z rozpaczą ów, co śpiewał, — jak ten co zjawił się na ziemi otoczony błyskawicami...

— Bądź więc przeklęty, rzekł Ahura-mazda — albowiem od ciebie poczęła panowanie swoje śmierć.

I padł człowiek ów trupem, i duch jego odleciał w mroczne kraje potężnego Anro-manju...

A był to pierwszy człowiek na ziemi, co umarł. I zwrócił się gniewny bóg do ludu i spytał: Czego żądacie?

— Oto zabieś tego, który miał nas poprowadzić do szczęścia, co ukryłeś od nas za wodami; otwórz nam te kraje, osłonię mrokiem tajemnicy, dokąd ciągnie nas duch nasz stęskniony...

— Albo my sami je odsłonimy i przepłyniemy te morza! — rzekli inni.

— Pomrzecie wszyscy—odrzekł bóg i odwrócił oblicze swoje od tych, co byli na morzu i pozostał ich samych sobie...

I zerwały się wichry i wypełzły z pieczar pioruny i gwałtownym skokiem uderzyły na wyprężony lśniący grzbiet morza. Zerwało się morze jak lew zbudzony w legowisku, zaryczało, zahuczało i olbrzymimi falami uderzyło na skaliste brzegi... A ci, co byli na morzu rozproszyli się po bezkrotnych przestworzach... Jedni poginęli, pochłonięci bezdenną otchłanią, inni—rozbici o granitowe skały, innych fale wyrzuciły na brzegi nieznane, niegościnne... i poszli oni coraz dalej i dalej, goniąc za tem szczęściem,



które przeczuwali, które umykało przed nimi za góry,  
za rzeki... i poszli jęcząc i przeklinając los swój...

A kraj wędrowki nazwali — doliną niedoli...

I zwrócił się bóg do tych, co wchodzili na wysokie góry. I rzekli ci: chcemy obejrzeć te kraje, które zasłoniłeś od nas górami...

— Czemu nie dałeś nam skrzydeł, byśmy mogli bujać w błękitach, byśmy mogli lecieć tam w dal...

— W te dale mogą szybować tylko synowie śmierci; ażali pragniecie śmiercią umrzeć?— zapytał łaskawy bóg.

— Myśmy nieśmiertelni!... my nie pomrzemy, lecz duchami będziemy, jak ci, co otaczają tron twój...

— Tyś okuł ducha naszego w kajdany ciała, lecz my wyzwolimy go przez wolę i ból...

— Czego więc pragniecie? — spytał surowo bóg — pragniecie szczęścia? ja was dziesięćkrotnie uczynię szczęśliwymi, niżliście byli...

— Usuń te góry z drogi naszej...

— Nie, my sami je usuniemy, rzekł ów człowiek, co był wodzem tego ludu, bo czuł potęgę ową tajemniczą w sercu swoim, — my nagromadzimy góry na góry, będziemy się pieli do tronu jego, aż staniemy się bogami. Ja was zaprowadzę...

— Bądź przeklęty, dziecię niedoli! rzekł promienisty bóg — i człowiek ów padł trupem u stóp jego. — Kto pójdzie tam, za góry, kto opuści krajinę tę, śmiercią umrze!...

— Pójdziemy — odpowiedziały ponure głosy — zabij nas, jak zabiłeś wodza naszego...

Odwrócił bóg oblicze swoje od ludu swojego i odtąd śmierć rozciągnęła swoje panowanie nad ziemią...

I opuścił lud Airyana-waedzy i powędrował przez góry, przez morza w nieznane kraje, kto na wschód, kto na zachód, kto na południe, kto na północ, pędząc za nieznanem cudem, idąc za nieuchwytnym pragnieniem, powędrował od kraju do kraju, od morza do morza bez odpoczynku, bez przerwy — cierpiąc, jęcząc i grożąc niebiosom... poszedł i wypełnił świat cały niedolą i łzami...

— I nazwał lud ziemię wędrowni — padołem łez.

I przeklął bóg Airyana-waedzy, krainę gdzie się zrodziła śmierć i niedola. W pustynię obróciła się Airyana-waedzy, raj pański... a wichry szybowwały po obumarłej krainie, wzbijały wysoko słupy piasku, ze śmiechem rozbijały je o krawędzie skał... poruszały, kołysały pustynią — i falowała ona na kształt olbrzymiego morza śmierci, morza przekleństwa...

I poszedł lud — i do dzisiejszego dnia nie zna odpoczynku, do dzisiejszego dnia tęsknota w sercu jego nie milknie, pragnienie nie gaśnie... nie gaśnie, bo je zasiało wszechmocne spójrzanie Anro-manju.

Lecz gdy spójrzą na siedmiobarwną tęczę, po której schodził z niebios na ziemię Ahura-mazda, z bolem w sercu wspominają kolebkę swoją — i wtedy przekleństwo pada z ust na głowy tych, co wywlekli ich z błogiej krainy, obudzili dusze do polotu — i coraz większe w zmęczonych sercach ludzi wzrasta pragnienie powrotu do praojczyzny i coraz mniej rozumieją, i przeklinają i kamienują tych, co stoją na drodze powrotu, zowiąc ich posłańcami śmierci, bo oni w ciągłym bólu, w ciągłej rozterce idą naprzód i krok za krokiem wydzierają tajemnice boga, pną się do tronu wszechmocy jego...

O wielki boże krain śmierci, boże piorunów

durz, boże nieznanymi uczuć, duchu tęsknoty i rozpacz! Ty, który spójrzaniem obudziłeś dusze nasze, zerwałeś bielmo z ocz naszych, rozwiązałeś skrzydła nasze do lotu, w godzinę smutku, w godzinę wątplenia padamy na kolana przed twym utęsknionem obliczem! wzbudź w naszych sercach większą jeszcze tęsknotę, większą jeszcze rozpacz, wznieć większy płomień bolesnych pragnień, byśmy z nową siłą zerwali się do lotu... Niech z tym ogniem, co płonie w piersiach naszych, z tą rozpaczą wędrujem przez całe wieki przez wieczność całą bez przerwy po bezkreśnych otchłaniach śmierci, samotni, gdy żadna zorza nie świta przed nami, żaden promień nie drga za nami, równi tobie, bogu najpotężniejszemu...

O wielki boże Anro-manju!

Zmiłuj się, zmiłuj nad nami...

Nad synami śmierci...

Nad tymi, co noszą, jako skarb nieodłączny, ból i niedolę w duszach swoich...

Zmiłuj się, zmiłuj!

Jam warjat! to co?  
świata jam król,  
bom poznał go,  
ukochał, aż znieawdził...  
przeniknąłem ciemnie  
i głębie zbadałem jego...  
kocham warjactwo me,  
bom przez nie osiągnął cel  
mych pragnień, mej duszy połotu  
jam dopiął choć raz,  
zgasilem piekielny ból,  
co sterczał w piersi jak głąz —  
i dzisiaj jam wolny jak orzeł,  
jam król! jam król!

śmiejecie się wy?  
temu nie dziwię się wcale...  
śmiać się należy wytrwale,  
by spędzić z czoła piekielne sny...  
pamiętam... tam kiedyś stałem,  
gdzie teraz stoicie wy,  
i tak się śmiałem, ach, jakże się śmiałem,  
jak nie śmiejecie się wy!  
i czemu? wiedziałem, wiedziałem —  
czego nie wiecie wy...  
i w duszy marzyłem, marzyłem,  
i z marzeń się śmiałem —  
a śniłem, wciąż śniłem...  
jęczały piersi w szalonej katuszy,  
w mózgu utkwily warjackie sny,  
i piołun czułem i gorycz w duszy,  
gorycz i łyzy...  
umilkłem, zamilkłem,  
ze skrzącem okiem tam stałem

i dumałem, i dumałem...  
o czym? milczę jak głaz—  
i żaden nie dowie się z was!  
  
mówicie, że pękły me struny;  
nic to, nic!...  
śpiewać jeszcze ja zdołam,  
piosnkę nie jedną uciulałam,  
bom wolny, bom duch!  
i warjat --- jam bóg...  
na ziemię sprowadzę pioruny  
i burze do wtóru powołałam...  
i głązy wprawię w wieczysty ruch...  
jam król! jam duch!...  
choć ciało me krata objęte,  
lecz duch mój zwycięski  
zerwał żelazne wędzidła  
i wysoko się wzbił,  
gdzie wasz nigdy nie zawita,  
bo... mu zabraknie sił...  
imię me święte  
zasłynie wszędzie  
i głuchy rozemknie słuch,  
i usta nieme otworzy  
pieśń moja, wieczysty z niej lunie ból,  
napełni cały świat boży —  
bom warjat, bom król...  
jam pan bolu — zaśpiewam,  
aż się potęga wszechmocy zatrwoży,  
aż z posad się zachwieje boży tron...  
moc swą czuję — mocniejszym od niego  
przez ból i zgon!  
  
pragniecie pieśni — ja wam zaśpiewam!...  
nie zatykajcie uszu swych...

daremnie, daremnie...  
słuchajcie śmiało pieśni mych...  
pragniecie pieśni, ja wam zaśpiewam.  
zaśpiewam piosnkę, co spłynie jak żar,  
jak orkan na morzu, potężny, szalony,  
jak olów, na ogniu piekielnym topiony,  
jak deszcz siarczysty, jak pocisk piorunowy  
uderzy ona w żelazne głowy,  
na popiół zetrze głązy, pokruszy,  
lecz bądźcie śmieli —  
serc waszych nie wzruszy.

sądzisz, mającąc?  
moich pieśni nikt słuchać nie będzie?  
więc cóż? to co! (ze wzrast. ucz.)  
gdy zrzucę z duszy kajdany,  
gdy zaszumią zielone gaje,  
zaszemrą czyste ruczaje,  
gdy się zaperlą zdroje —  
obudzą się pieśni moje!...  
ach, ludzie, zburzcie te ściany,  
ach, zniszczcie je, kraty rozłamcie,  
puśćcie mię, puśćcie na błonie!  
dajcież oświeżyć mi skronie!  
dajcież mi wolność... na chwilę!  
na jedną tylko chwilę,  
bo rdza mi piersi przejada!... (przycisz. gł.)  
słyszysz, co niebo powiada?...  
a serce? nic—milczy, nie jęczy... (tajemn.)  
widziałem kał na tęczy. (ze wzr. obłąk.)

dziś niebo takie błękitne,  
takie pachnące, jak leśne maliny...  
gdzie maliny?... leśne?... maliny?...

ach te, co w dzbanku mojej dziewczyny...  
boże, znowu coś majaczę...  
i po cóż wy mię dręczycie...  
dajcież mi spokój, zostawcie mię!...  
dziś słońce tak się uśmiecha,  
jak... nie! nie! jam spokojny,  
ogień tu już nie płonie,  
nie bucha zład żar...  
jam wszystko zapomniał...  
pieśni pragniecie? a dobrze!...  
zaśpiewać piosnkę wam?  
zaśpiewać? — pieśń moja dziś wolna  
i cicha jak żal,  
jak łza przezroczyta  
i chłodna jak stal...

a znał żeś wiosenne zorze,  
a widział żeś wieczorne morze,  
widział żeś jutrzenkę złotą,  
a znał żeś miłość — tęsknotę... (z obrzyd.)  
miłość — tfu — głupotę świata,  
miotłę, którą szatan wymiata  
śmieci, by je zasadzić  
piekłu... dzieci...  
gdzie miłość?!... czy ta, co w pieśni  
czy ta co człowiek ją prześni...

pieśni? co? pieśni (z obłąk.)  
cha—cha—cha—cha!...  
pieśni warjata mędrzec przeczyta...  
cha—cha—cha—cha—a—cha!...  
pieśń warjata jak piorun  
uderzy w zdrowy mózg  
i wolne serce przeszycie sztyletem,  
zatrutym jadem zgorzkniałej niewoli,

i krzepki umysł niejeden zaboli,  
gdy okuje w kajdany własnej niedoli  
i na uwięzi umknie go w dal  
pieśń ma spokojna  
i chłodna jak stal...

cha—cha—a—cha—cha...  
przez chmury z błękitów jaśniej  
postać anielska,  
ale gdy serce szaleje  
z tęsknoty za nią — już się rozplynie,  
a gdy się zbliżysz, wnet zginie  
na wieki...  
i gdy cień jej daleki  
badam ze drzeniem ja, stara dziecina,  
widzę—przedemną naga dziewczyna! (woła)  
bachantka!... cha—cha—cha—cha...

cha—cha—cha—cha.. (z ironią)  
szukałem postaci anioła...  
cha—cha—cha... a tu skalana  
dziewczyna i naga...  
cha—cha—cha—cha...  
flircik dziecinny...  
aniołek niewinny..  
mirtowy wianek...  
malin dzbanek,  
wreszcie głupiutki kochanek,  
anek, anek, anek...  
cha—cha—cha—cha...  
kurwy! plwam w twarz wam!  
nie! do mnie naga!  
bez różnicy zgoła,  
choć by w postaci anioła...



mnie już nie oszukasz ty, niepokalana...  
bez różnicy zgoła ..  
słodkie słówka umiem sypać,  
za miodowe oczka  
mogę wzdychać!... cha—cha—cha—cha...

inni — to filistrzy... filisterje...  
błoto głupie... kokieterje...  
a my!... idealni, idealne...  
namacalne związki święte,  
bez podwiązki, a tam —  
ach... już niebowzięte...  
cha—cha—cha—cha...  
wyniesieni ponad tłumy...  
cha—cha—cha—cha... tytany,  
geniusze, anielice —  
raptem zwykłe samce i — samice  
cha—cha—cha—cha —  
cha—cha.....

jam warjat? to co!  
jaż brednie wygaduję?...  
nie śmiej się, braciszku,  
zawcześnie jeszcze, zawcześnie...  
duby smalone?... to co!...  
brednią świat żyje,  
i brednią zdrowy mózg  
najlepiej tyje  
i dziś i wczoraj, jak temu tysiąc lat...  
a wiesz, jakie głupstwo  
za mądrość poczyta świat?  
jakie warjactwo wypieści,  
jakiego warjata umieści  
na ołtarzu bogów swych?...

cha—cha—cha... tragedji niema tam...  
nad bogiem sędzia—pogardzony  
skinie, a zleci — do śmieci...  
cha—cha—cha... (gwałt.)  
nie! trysnę, jak źródło, jak kwiat  
rozkwitnę, strzelę jak słup  
dymiących pożarem obszarów  
i niebo purpurą zarumienię,  
aż noc na dzień zamienię,  
aż ugnę światu szyję  
ja warjat, ja duch...  
ciemnią wyrazów skrępuję go  
i zwrotów nędzą okiełzam,  
i w nieskończoność popędzę,  
aż moc mą uczuje,  
gdy go sprowadzę z pewnych dróg  
ja, warjat! ja duch!  
brat tytanów, potężny młot,  
co pioruny kuje,  
błyskawicą na błyskawicę,  
grzmotem odpowiada na grzmot.

nie warjat jam, nie mającę,  
o niczem nie śnię,  
jam tylko życie  
przeżył swe skrycie  
i w morskich głębiach  
zakończyłem je...  
a stamtąd jak zmora  
wynurzę światu na zgrozę,  
by go ukarać za... błazeństwa!  
cha-cha-cha...nie bój się, morza nie wzruszę,  
lecz zwiększę stado papuże

i będę śmiał się, śmiał się —  
jak małpa... cha-cha-cha—do zgonu...

tak, jam warjat! bo pragnę...  
ja, warjat, świat ugnę pod nogi,  
rozdepczę go piętą warjacką,  
stanę na jego ołtarzu  
ja, warjat, jak bóg —  
pokłonem, ofiarą on uczci  
warjacki duch!... (pauza)

jam duch, dziś tyłkom duch...  
szyderczy bezmocy cień,  
syn piekieł, dziecina śmierci ja  
i mi już nigdy nie zaświta dzień...  
zgasłe słońce nadziei  
pochłonęło wszystko...  
wśród mroków wiecznej zawiei  
pozostało wielkie rozpaczne rumowisko...  
a niegdyś mi się uśmiechał świat,  
kolorowych marzeń krocie,  
pragnień miałem pełne piersi...  
ach, tyleż upłynęło chwil, tyleż lat...  
dziś jam cień...  
i mi już nie zaświta dzień...  
szyderczo tylko dziś z mogiły  
sterczę jak upioru cień; (rozpacz.)  
jużem nic!... jam trup!  
trup! trup!... o boże,  
gdyś pragnienia do piersi kładł,  
czemuż mi nie dałeś sił,  
czemuż mi nie dałeś wtenczas sił,  
bym spełnić mógł, com śnił!...  
czemu mi nie dałeś sił,

gdyś pragnieniem duszę poił,  
i dziś jam cię za... nie! nie!  
przeklinam cię... żeś kał —  
nie bóg... (skrywa twarz w dłonie; pauza).

spiewałem, (kiw. gł.) spiewałem...  
chę — chę — spiewałem,  
spiewałem, co mi się sniło...  
a nagich biodr tam nie było,  
ani bredni ubranych w mrok,  
ani steku kłamstw małych...  
smiały się pawie, osły, barany —  
a ja spiewałem wciąż...  
szczury mię słuchały,  
kąty się śmiały,  
chwytały za boki ściany,  
morał miłości wzruszony prawit wąż...  
kot ze szczurem poszedł w tan —  
a jam koziołki wywracać  
z radości pobiegł na łan...  
tam były kwiatki śliczniutkie  
i ładniutkie na spójrznie,  
a więc w cenie,  
i głupiutkie,  
jak kotki oczęta,  
gdy się wdziczy do kota  
z za płota...

sądziłem: prześliczny łan —  
a gnite bagnisko tam było...  
ach, ile błota, błota ile...  
gdy pod twardą stopą trysnął kał,  
mię ogarnął szał; (twardo z naciskiem)  
wydeptałem błonie uludne,

pomiąłem kwiaty te brudne...  
wnet pawie rozdęły ogony —  
wrzasnęły,  
osły, strzygąc uszyna,  
złośliwie ryczały,  
a barany, biedne barany  
załośnię beczały...  
a jam wpaść w istny szał,  
bom stracił, com miał,  
bom stracił wszystko,  
wszystko, com miał...

boże, tyle pragnień, marzeń tyle,  
pogrzebanych dziś w mogile...  
skrzydła obłamane!...  
struny moje popękane!...  
chciałem orłem wznieść się na wyżyny,  
a pełzałem płazem tu... w nizinach...  
w prochu... w błocie,  
bom bez siły,  
bo zwątpienia mózg mi wysuszyły...  
chciałem wielkim cieniem przed obliczem  
embrionów zostać — a zostałem niczem...  
boże, pociś mi pragnienia dał,  
bym dziś się tarzał w prochu?...  
ha! zapytam cię o to kiedyś w niebie,  
czemuż mi nie dałeś siły,  
chyba bym rozpaczą zabił siebie...  
to nie! nie ty zwyciężysz... po nad tron  
twój się wzniosę — przez ból i zgon...  
zajaśnieję wielkim zniczem,  
aż zostanę... aż zostanę...  
wszystko jedno—tylko niczem, (przez zęby)  
ha, niczem, niczem... kraczesz jak wrona...

precz! ty najgorszą truciznę  
wsączyłeś w mą duszę,  
żem nawet we własne z wątpienia,  
o sobie dziś wątpić muszę... (pauza)

tom warjat! tom warjat!  
jam pragnał, by płazy  
orli podziwiały wzlot,  
by kury porzuciły płot —  
i za mną w wyż!  
aże brudno, aże ciemno,  
aże podłe plemię  
nie wzniosło się ponad ziemię,  
aże językiem płazów nie umiałem  
pleść o światach nadobłocznych,  
więc słabym..  
że nie gdekały nademną  
kury, kokotki... co mi sam!  
jam tu król, jam władca sam!  
ja gardzę płazem, dołem,  
bez ducha wyrazem..  
precz z rojem przewidzeń!  
zmęczony lotem odpocząć  
pragnałem bez marzeń  
i widzeń... (pauza)

skrwawiłem dłoń sobie..  
ukłułem i krew się polała —  
daremnie..  
boli — a jakoś przyjemnie.  
a może draśnięcie to kotki..  
kotki? jakiej? aha! tej pieszczotki,  
co się drapie, łasi...tak... do jednego  
dzisiaj, a jutro już do innego —

tak się łąsi, wdzięczy, skacze,  
że aż... boże! znowu coś mającę...  
nie mogę zebrać myśli. (trze czoło dłonią)

co chciałem powiedzieć?  
aha! w ciuciubabkę się bawisz,  
i całować umiesz...  
i macać też naturalnie... rozumiesz...  
cha - cha - cha - cha... (trze czoło dnowu)  
głupstwo! znów nie to! więc cóż?  
ach, cóż? (trzyma się za głowę) nie mogę  
przypomnieć... aha, dam ci przestrożę,  
dam ci rady doskonałe;  
chociażem warjat, przyjacielu,  
lecz roztrośniejsz n jest od wielu,  
bom życie przen drkował całe...  
rady moje doskonałe;  
ich się trzyma cały świat...  
kwitną wszędzie... kwiat! kwiat!...  
kłamią — wierz zawsze,  
los dał i bierz  
bez czułości zbytnej i sam  
też kłam — i dobrze będzie wam  
obu... cha — cha — cha...  
to rady doskonałe!  
prowadzą do szczęścia, do chwały...  
chwałę! chwałę!... (z gorzką ironią)  
ha, nim bicz ukrećę,  
na siebie sprobować go muszę,  
bo w otchłań błota mam duszę  
pograżoną... cha - cha - cha...  
pół bogi!... cha - cha - cha...

na śmiech mój nie zważaj...  
śmiech... niekiedy śmiech boli,

i ból się śmieje... ot, powoli  
minie wszystko... nic wiecznego,  
nic stałego... znów majaczą!  
boże, co się ze mną stanie?  
tak się trwożę, tak się trwożę!  
tak mi ciemno, tak mi ciężko...  
tu i zapach taki gniły,  
trupi, a uciec brak mi siły  
zład... ach czemu nie miałem nóg  
jelenich, bym uciec mógł  
od własnych dum i pragnień...  
w głowie szum i w uszach szum...  
stos nierozwiązanych zagadnień...  
czekam wciąż — i śnię, i śnię...

i po co śnić?  
alboż nie lepiej żyć,  
z życiowej czary rozkosz pić  
pełną piersią, gdzie się zdarzy,  
nim mogilną uczujemy mgłę...  
rozumują niechaj starzy  
i warjaci... abo żem nie waryat?!

Jezus, Marya!... Co rzekłem!...  
nie... obrałem sobie mylną  
ścieżynę, mylną...  
sen wszak snem, marzenie — ułuda...  
wszak we śnie minęły te lata,  
gdy się działy cuda.  
dziś wszystko tak się splata,  
piękno — brudy — głupota...  
marzenie... marzenie...  
niewinne tam czoło, śnieżyste szaty...  
anielica, anielica!...  
i śniłem, żem już bogaty



w skarby szczęścia, niem całe przestworze  
tchnie, i nowe płoną zorze—(z goryczą)  
skarb niewyczerpany jak morze —  
szczęście zstąpiło z nieba.  
lecz stary grzesznik świata,  
co zna dobrze jego dzieje —  
szatan rogaty,  
siedział u pięt mojego ducha,  
i udawał ciągle zucha,  
i śmiał się, śmiał się, żem dziecinny,  
młodzieniaszek niewinny,  
jedyny... cha - cha - cha...  
nie wierzyłem, aż raz...  
cha - cha - cha... paradne mieli miny,  
aż parsknąć śmiechem brała ochota...  
cha - cha - cha — i cóż,  
wszak dawno potaniała cnota...  
ach, bo niewinność i ona ---  
tak twierdził szatan —  
nim dziewicą stała się — już —  
była adamowa żona...  
cha - cha - cha... mądry gałgan...  
bodaj by go... jej na świecie nie było—  
sądzę, nie jednemu by ulżyło... (pauza)  
miłość... (kiwa głową; pauza).

Rzym płonie, tytan w ogniu kona  
z ręki Nerona...  
świata koło płomieniste  
dzisiaj pełne genialnych głów,  
podziwianych, wychwalanych —  
pełno ludzi — mało słów...  
byle wyżej płotu wzłata,  
już wyśmiewa waryata...

och, tytanów, geniuszów tłumi,  
słyszysz — geniuszów tłumi  
z waryatem walczą na rozumy...  
cha—cha—cha!

i cóż?... świetne nadzieje...  
cha, cha, cha,—boli—a ja się śmieję... (ze wzr. obł.)  
łajdaki! w kajdanach  
na dno piekieł strącili,  
a tam kwiatów było tyle,  
motyli, motyli...  
i smutno dziś mi, i pierś mię boli,  
żem duch samotny  
w żelaznych szponach Niezmiennej...  
a chciałem błysnąć gwiazdą raz,  
jak bóstwo...  
i to pragnienie dzisiaj jeszcze  
steraną duszę mą pali,  
czuję ten głód tantali (z całych sił krzyczy).  
głupstwo! wszystko głupstwo!...  
nie chcę, nie!.. nieprawda!  
nienawidzę go z całej siły,  
że on! on! wszechmoby bóg,  
a jam? — a jam — próchno,  
nic, może nawet nie duch,  
może z nową dołą  
przestanę być sobą —  
zmałuję, w życiowej fali  
z wszechbytem się zleję.  
a on -- wieczny twórca  
ognistych światów!..  
hej, gwiazdą,  
gwiazdą, słońcem błysnąć wraz!  
błysnąć, zaćmić wszystkich was.

bogów, ludzi... choćby potem (ciszej)  
na wieki zgasnąć, (jeszcze ciszej)  
jak ta mała,  
co mi niegdyś przyświecała  
i wnet zgasła... kto to mówił? ha, ha, (przez zęby)  
dziś już to nie boli...  
wszystko, wszystko zapomnę powoli,  
lecz nie tamto!  
nie, nie mogę, nie mogę!  
nie płacz, nie płacz, dziecię moje,  
utul swoje łzy,  
śmiej się z bólu, śmiej się z skargi,  
tam ulecą, gdzie i sny...  
śmiej się z siebie, śmiej się sobie,  
z innych też się śmiej,  
czekaj, nowe ujrzysz światy,  
lecz ci tam nie będzie łżej...

gdyby to tak było! o gdyby! (pauza; spokojnie)  
smutno mi było, samotnie...  
tęskniłem, tęskniłem. tęskniłem, (zwiesza głowę)  
(żywiej) aż serce buchnęło w płomieniu,  
i skończyłem — na jednym cierpieniu...  
sądzisz: majaczę? (trze czoło), nie, jam przytomny.  
czyż ja przytomny?.. zaczekać...  
majaczę?.. nie! nie!  
będę wołał ze wszystkich sił,  
żem nie waryat ja! nie, nie! (cicho po kr. zast. się)  
nie może być, bym waryat był...  
waryat? — Jezus Marya!...  
i ja to znieść muszę?...  
nie, warjat tyś, co mą duszę  
dręczysz! — precz, precz!... (pauza)  
(zamyślony) zwątpienie mię przygniata...

tak... jam waryat... tak...  
chodź do mnie, bracie, podaj mi dłoń;  
nie obawiaj że się waryata,  
już nikomu nie zaszkodzi on...  
chodź, będziemy tu we dwoje...  
dziękujesz? nie chcesz zostać waryatem?  
więc Salomonie mój najmiłszy,  
Sokratesie, Chrystusie, czego tu stoisz?..  
wszak patrz, nikogo już niema!..  
chodź, bracie, łany kwieciste  
pokażę ci, zdroje perliste  
i niwy moje...  
czarodziejskie ogrody,  
pełne rzechocących żab...  
i kryształowe pokażę pałace,  
gdzie przewielmożne tłumy  
szanownych karaluchów się snują.  
cha — cha — cha... .

mówisz, żem waryat? to co?  
majaczę... cha — cha — cha...  
jak waryat się śmieję,  
waryacki mam wzrok?...  
ech, braciszku miły,  
nie trać nadziei — wskok  
dopędzisz mię... cha—cha—cha...

ja się śmieję? to co!  
śmiech — znamię waryata?  
cha — cha — cha! toż mędrzec...  
nigdy nie będziesz porządnym waryatem,  
pozostaniesz zawsze głupim...  
hej, wy — dusze przeczyste!  
czemu się wam... cha — cha — cha...

i wartoż umierać...  
spójrz Chryste... na plon...  
cha — cha — Chryste... cha — cha — cha...

bluźnię? o nie, o nie!  
ja się śmieję? wyśmiewam?  
toś śmieszny sam!  
co z piersi mej wylata,  
to nie śmiech waryata,  
lecz gromów kaskada  
gwałtownych tych burz,  
któremi pierś moja wzbiera,  
i piorun już się skrada... (z krzykiem)  
chwila jeszcze — runie tuż!...  
gdy z piersi się wymknie,  
wstrząśnie z posad głupi świat,  
za jednym tchnieniem  
w gruzy runie stary grat!

mój wzrok za piorun starczy,  
spójrzę, a strzeli,  
aż zadrzą niebios czciciele,  
aż wszechświatów cisza nieskalana  
złęknie echem swego pana,  
aż runie ołtarzów próchno  
do stóp mojego ducha,  
możnego niby rozpacz głucha...  
spójrzę — a na kornym błękiecie  
pochodnię buntu znów rozpalę,  
aż obalę tajni jego trony —  
pomknę w bój — a za mną  
miliiony!..

potęgę swoją znam,

bo czuję w piersiach ból,  
co miliony serc przepalił,  
zwęglił, w bezmocy sterał,  
strawił...  
bo czuję ból, co od milionów  
poczerpnął piersi moc swą nieskończony —  
ból odwiecznych tych męczarni,  
którymi kona ludzki duch,  
którego otchłań stara  
w czeluściach swoich nie pochłonie:  
ból wszystkich stworzycieli,  
co bezmocą skute mieli  
twórczej woli dłonie!..

swą moc ja czuję,  
ja nagnę świat pod swoją wolę,  
aż miliony serc zabolą  
tym bolem...  
aż odczuje każdy nędzę swą...  
wtedy, wtedy to popłyną  
wielkie i bezbrzeżne rzeki  
wszechświatowej niszczyielskiej skargi,  
jako morze się rozleją, aż się złęknie  
stary bóg daleki  
o swe światy stare i spróchniałe,  
o swą chwałę!... moc!...  
w złote kajdany ująłeś me dłonie,  
i kazałeś niemi rozgrzebywać błoto,  
a duch podłości, duch bezmocy  
i niewoli kazałeś zwać cnotą!  
i dziś te dłonie,  
zanurzone w błocie, zedrą nieskalaną  
niebios zasłonę, bo płonie  
w sercu piekło niedoli,

a na czole niosę jaśniejący ból,  
którym tajnie twe oświecę  
i ciebie wywlokę w nagości całej,  
a obaczę, ażaliś ty —  
bóg doskonały...  
do boju! do boju!..

ty wiesz, czego ja pragnę?  
ty wiesz i drzysz!  
ruiną wszechświatową grozisz —  
słyszysz, ruin łaknę!..  
ruin łaknę!  
niech pękną gnite ogniwa  
i stoczą się ze starych dróg!..  
gdy wszechświatowe się rozleje  
bolu morze, wtenczas  
nowe światy stworzę  
jak potężny młody stwórca bóg.  
z tobą się zmierzę... widzę, jak się zrywa  
przestraszony stary bóg,  
sądząc, może miliony  
idą, a nas tylko dwóch...  
znowu o wszechmocy tron  
stoczymy bój,  
ostateczny bój... ja lub on.  
ja lub on!

i ty, boże, chciałeś stłumić pożar ten,  
którego potęga  
wszechmocy twej dosięga?..  
tyś, boże, pragnął płomień ten  
życiowym zalać kałem,  
nizkim, zwierzęcym szałem,  
że go ochrzciłeś mianem miłości

świętej, niepojętej!..  
tyś chciał obniżyć polot mój,  
zniweczyć popęd mej potęgi,  
bo się zachwiał tron twój...  
sądziłeś, że zniweczysz brudem  
pragnienia w duszy mej,  
je zatrujesz jadem pokoju...  
nie! ono wyżej sięga,  
niż wszechmoc myśli twej...  
do boju! do boju!

wszechmocą tyś — a ja cierpieniem,  
potęgą tyś — a ja pragnieniem,  
przemówisz piorunem ty — ja tęsknotą..  
ty zabijasz — ja rozjątrzam rany  
w buntowniczym sercu ducha...  
kogo dotknę, ciebie ten się już nie boi...  
idź, nieubłagany, zapytaj jego,  
ażali on powie: tyś pan mój...  
ty śmierć zadajesz — ja ból, o panie...  
nie przez śmierć się odradza wszystko,  
jeno przez ciągłe konanie...  
zwycięzę ciebie, o panie!..  
ja, król bolu, ci powiadam:  
twórz światy nowe, a posiadę je,  
bom wszechobecny tam,  
gdzie tylko życie drgnie...  
wiesz dobrze, o panie, sam,  
żeś tylko... wszechmocny bóg,  
jam wiecznej skargi cierpiący duch! (pauza)

nie, na podwaliny władzy twej,  
o boże! nie uderzę,  
nie wydrę ci berła



i nowych światów nie stworzę...  
i pocóż? gorszych bym nie mógł,  
doskonalszych nie trzeba...  
dzisiaj stworzone, dzisiaj jaśnieją,  
tuż znikają, tuż zaćmione...  
tylko bezmoc wszechpotężną falą  
ciska mną, wszechświatem całym  
i tobą, bogiem doskonałym,  
aż wszystko i ciebie, panie,  
pogrąży w mroczne otchłanie...  
ciebie, panie,  
jakże! i ciebie i ciebie, razem...  
ciebie, coś zatruł mą duszę,  
że dzisiaj wątpić muszę  
nawet we własne wątpienia...  
ha! chłostasze mnie rozpaczą zwątpienia,  
a ja ci odpowiem przekleństwem rozpaczyl  
a że mój pocisk również bolesny,  
świat cały uczuje,  
i niebo zobaczy...  
a choć od sklepień nieba  
jak echo runie na mą głowę,  
nie dbam o to!.. przekleństwo?  
przekleństwo na moje szaleństwo?  
cha—cha—cha! jużem przeklęty,  
jużem przeklęty własną zgubą  
i rozpaczą i bezmocą...  
wątpilem, cierpiałem... i po co?.. (z obłąk.)  
gdzie przeszłość moja, życie me?  
wróć mi je... (ze wzrast. obłąk.)  
warjacie przeklęty! zwróć mi ją!..  
wróć mi młodość steraną,  
ukochaną, pożadaną,  
dzisiaj z mogiły

wymaganą!.. wróc mi ją! (ściska dłońmi skronie)  
przekleństwo na mą biedną głowę!  
wróc mi ją, wróc!.. (ciszej)  
wróc, bym mógł przeboleć  
i sterać na nowo,  
bym powtórzył katusze, co znoszę...  
bij piorunem w skroń mą! (głośniej i spokojniej)  
ha! milczysz! milczysz, bo wiesz,  
że nie ciebie proszę.

ha! wszechpotężny, niepojęty,  
wiecznym milczeniem osłonięty,  
ty byś pragnął, bym nie miał  
ja, człowiek, nieśmiertelnej duszy!  
lecz mam ją, mam ją, mam!  
wiem, ciebie nie wzruszą  
jęki ni szamotania  
w chwili konania —  
lecz mam ją, mam... przerwij swe milczenie  
zaprzecz, że nie mam, boże!  
ha, wiesz, że ci to pomoże...  
mam ją, mam i odrodzę  
w życiu nowem, w nowem ciele,  
wszak straciłem ja tak wiele,  
bo czuję.. mam ją..  
powiedz że? potwierdź!...  
ha! milczysz wciąż!...  
milczenie — mrok — śmierć —  
i przed obliczem  
twojem jestem tylko niczem!..  
takie wskazujesz mi dzieje —  
proch... i jego wiatr rozwieje...  
nie! nie! jam nieśmiertelny!  
ciśnij pioruny na mą głowę,

ty, wrogu duszy mej zaklęty!  
przeklęty, przeklęty!  
nie! mojego ducha nicość nie pochłonie,  
bo ty ogarniasz wszechświat cały,  
a ja ciebie w swoim łonie... (z większ. obłąk.)  
a może ty nie jesteś mym wrogiem,  
tylko nieszczęsnym bogiem? (zbol.)  
widzę! ty jak człowiek zatapiasz palce  
i rozjątrzasz rany ducha,  
a na twarzy boleść głucha...  
ha, wiem, wiem, co cię boli,  
znam przyczynę katuszy:  
ty wszystko, wszystko możesz,  
lecz nie możesz, wszechpotężny boże,  
zadowolić własnej duszy...  
całą niezgłębioną świadomością  
cierpisz nad wszechmocy  
samotnej swej nieskończonością.  
niczem nie zwyciężyć ciebie,  
nawet rozpaczą... nawet... miłością!  
tyran, tyran! zabrałeś wszystko sam,  
i rozpacz i ból!..  
ha, tyś król, tyś król...  
co że nam, co że nam,  
cierpiącym duchom?.. (zgrzyta zębami)  
ha... wieczne łamanie...  
śmiertelnych drgań udawanie...  
nim wszystko w ból się zamieni...  
bez zbawienia... bez zbawienia...  
masz tyranie! żłęcz moją krew  
z serca, z serca...  
masz duszy mej morderca —  
przekleństwo ci...  
(uderza głową o mur i pada zemdl., a może martwy).

Dawno już, dawno, w dniach jeszcze dzieciństwa, śniłem, że w nocnym cieniu spoczywam wśród nieznajomych jakichś gór i skał, otulonych mrokiem. A z pomiędzy nich w tym mroku nocnym wyłącza się śnieżną słoneczną białością daleki, daleki szczyt, mający kształt niskiej kolumny. I tak jakoś dziwnie jaśniał ten szczyt wśród mroków ciemności nocnych. Takie łagodne światło lał dokoła, żem uczułem pragnienie zbliżyć się ku niemu, pogrążyć się w fale jego promieni. Przykuł moją wolę, moją uwagę, moje myślenie.

Pragnąłem się zbliżyć do niego... Coś mi twierdziło, że muszę się zbliżyć ku niemu...

Gdy stałem wewnątrzną rozterką miotany, aż oto nagle ujrzałem na szczycie młode dziewczę w białej szacie, z rozwianym włosiem. Lice jaśniało niebiańską pięknnością, czoło, okolone wieńcem lilji, tryskało promienie, a z całej postawy płynęła anielska słodycz i niewinność. Uczucia w piersiach na chwilę zamarły, a usta zaniemiały z podziwu. Zaledwie po chwili wyszeptalem bezwiednie:

— Madonna moja, ukochana moja... I z tęsknotą wyciągnąłem ku niej ramiona. Po raz pierwszy zabiło silniej serce w dziecinnej piersi, po raz pierwszy zapłonął ogień nieświadomej a czystej, jak ła matczyna, miłości.

Z zachwytem, z uwielbieniem spoglądałem na nią...

— Umiłowana moja, madonno moja!

I czułem, że jest mi droższa nad świat cały, nad życie własne. Pragnąłem tak patrzeć na nią wiecznie, bez końca, modlić się do niej, całować stopy jej, spoglądać na to czoło, promieniejące aureolą nie-

winności. Padłem na kolana, wyciągnąłem ku niej ramię — i obudziłem się.

Umiłowana moja, madonna moja!..

Obudziłem się i długo jeszcze nie mogłem wyzwolić się z pod wrażenia widzianego snu. Jakiś ciężar przygniótł smutkiem duszę. Jakbym kogoś bardzo blizkiego, bardzo ukochanego utracił, jakbym się ledwie ocucił w nieszczęściu. I uczułem po raz pierwszy ogień tęsknoty w mojej piersi za tą ukochaną, widzianą we śnie. I żałowałem jej, jakbym żałował, gdybym był rozstał się przed chwilą z nią. Świetlana kochanka moja jak żywa stała mi w oczach...

Odtąd zagnieździło się w sercu mem oczekiwanie. Czekałem jej, wyglądałem z tęsknotą. I wiedziałem, że nie przyjdzie, a czekałem jej. Wmawiałem sobie, że to senne widziadło, a droga mi była, droga mi pamięć jej była. Nie chciałem wierzyć, bym nie miał jej zobaczyć więcej. Nieraz układając się do snu, modliłem się do niej, by się ukazała raz jeden jeszcze, choć we śnie, by przyszła — a nie przychodziła.

Z dnia na dzień zwiększała się tęsknota, z dnia na dzień rosło w piersiach oczekiwanie, a nie przychodziła ku mnie.

Trawiony tęsknicą uciekałem od ludzi, błąkałem się wśród lasów i pól. Zdawało mi się, że ją tam spotkam, że muszę spotkać, muszę znaleźć gdzieś, że tam kędyś za temi górami oczekuje na mnie, dąży ku mnie, tęskni za mną. Często widząc postać dziewczęcą w słonecznych blaskach skwarne go dnia, sądziłem, że ona, łudziłem się, gorączkowałem, śpieszyłem do niej, aż-em z goryczą się przekonał o własnej pomyłce. Tęskniłem za nią, a nie przychodziła — nie przychodziła świetlana moja...

Odosobniałem się od ludzi, stroniłem się od życia, bom poznawał świat inny. Świat nowy odkrywał się przedemną, nieznany jeszcze, bolesny, wielki, piękny, pełen cudnych kwiecistych marzeń, świat tęsknoty i miłości.

I snułem tęczowe wizye, spletałem wianki z rajskich kwiatów marzenia, śpiewałem pieśni nieznane jeszcze nikomu, dnie całe tęskniłem pogrążony w marzeniach, oczekując z niecierpliwością nocy, bo mi nieraz się zdawało, że dziś zobaczę, że przyjdzie do mnie ta oczekiwana, ta utęskniona — i nie przychodziła.

Często idąc lesistą drogą o wieczornej dobie, o zmroku zdawało mi się, że spotkam ją tu, czułem, e jest blisko, obok mnie — i tęsknota w zdwojone sile spływała na duszę, błoga, słodka — i miłość się rodziła w duszy. Wyciągałem do niej tęskne ramiona, a nie było jej.

Tęsknota rodziła pieśń, pieśń rodziła spokój. I płynęła pieśń łagodna, spokojna, czysta jak ten wieczór, poważna jak ten bór, a głos szedł tam het w dal, aż zamierał, ginął powoli. I łudziłem siebie, że ona też śpiewa i ona tęskni, i ona się skarży... I odpowiadałem na skargę — skargą, na tęsknotę — tęsknotą — i nie przychodziła ku mnie.

I wstawiała pieśń za pieśnią... Spływała skądś na mnie... do duszy... natchniona...

Nieraz we śnie nuciłem pieśni ulotne, natchnione, oko płonęło, nieraz... i nie przychodziła ku mnie, chociaż czułem ją tuż obok, czułem na czole musnięcie jej włosów, czułem na twarzy czysty jej oddech. Budząc się nieraz, jakby we mgle widziałem niknięcie jasnej głowy. Czuwałaż nademną?

Tęskniłem, marzyłem, kochałem i nie wiedziałem kogo. Duch mój się zbudził, skrzydła mu wyrosły, spotężniały i odtąd buja z orłami... w obłokach... Odtąd pojąłem każde westchnienie kwiatka, i zdało mi się, że on też kocha, każdy szelest trawy, bo w nim słyszałem skargę, każdy powiew wiatru, bo mi się zdało, że on tęskni, że on goni za kimś... za kim... nie wiem! może za nią...

Madonno moja, ukochana moja!...

Tęsknoto moja, miłości moja — przyjdź, okaż mi się! ach przyjdź więc, przyjdź...

Czy przyjdiesz, gdy ci wypowiem, co czuje serce, gdy ci wyśpiewam marzenia moje, gdy ci pokażę światy, gdzie buja duch mój, gdy odkryję wszystkie skarby, jakie posiadam, okażesz się mi? Ach, przyjdź, niech ujrzę cię!..

Madonno moja, ukochana moja!...

Dnie, tygodnie, miesiące, lata całe upływały, a wciąż tęskniłem za nią, kochałem, oczekiwałem — i nie przychodziła. Cierpiałem, zazdrościłem innym, gdy widziałem szczęście ich, życie, miłość ich — i żałowałem ich: bo ulubiona moja czysta, jak rosa, jak perła, jasna, promienista, nieskalana, jaśniejąca blaskiem promienistej bieli dziewiczej, anielskiego spokoju...

I marzę często o wielkiem szczęściu jakie nastąpi, gdy przyjdzie utęskniona moja. O szczęściu wielkiem bez kresu, bez granic...

Marzę i czekam...

Śnię... śnię... śnię...

I śnię o wielkiej, o jasnej miłości, o miłości, jakiej mi świat nie da...

Śnię... śnię... śnię...

I wiem, że śnię i obudzić s ę nie pragnę, by  
nie skalać myślą tej, co mi tyle dała marzeń, tej ja-  
snej, tej nieskalanej.

Śnię... śnię... aż przyjdzie...

O przychodź, moja zorzysta, moja utęskniona! bo  
kocham cię z sił całych i czekam cię, wyglądam...

Kocham cię, że — nie przychodzisz do mnie...

A czuję cię, czuję tuż obok siebie, czuję twe  
anielskie tchnienie, rajski powiew śnieżystych szat  
twoich.

O przychodź prędzej, przeczysta moja!...



## I

Gdy dusza w bólu rozpaczonym kona,  
potęgą szatańską serce me bucha,  
czuję, jak wszechmoc z przestworów łona  
rzeką spływa w otchłań zboląłą ducha;

i taka wtedy rozpacz szalona,  
jak niszczycielskich wichrów zawierucha,  
w głębiach mej duszy potęgą wybucha,  
że w piorun zmienia moje ramiona,

żem gotów stanąć z wieczystą potęgą  
twarz w twarz i zmierzyć się oko w oko,  
i nad niezmienną przeznaczeń księgą

zabłysnąć własnej samowoli runem,  
zmaćcić wszechświatów ciszę głęboką,  
za grzmotem ciskać grzmot, piorun za piorunem.

## II.

Gdy rozpaczłą stopą stanę poza progiem  
istnienia mego, gdzie wieczność się otwiera,  
gdzie pełnią wszechmocy duch mój wnet wzbiera,  
uczuję, że jestem więcej niż bogiem;

gdy z piersią błyskawicami zapłodzoną,  
dłonią tryskającą piorunów pękami,  
mknąc rozdieram mroków odwieczne łono  
i targam wiecznością, igram światami:

szal wicherzącej mocy wciąż więcej mię boli;  
i z całą niezgłębioną świadomością  
cierpię nad wszechmocy swej nieskończonością,

bo w pełni potęgi nieobjętej woli  
przed twórczym wszechmocy tej obliczem  
pozostaję zawsze tylko — niczem.

### III.

Pod nieukojonem poczuciem jęcząca  
dusza rozpaczą niszczycielską tryska,  
i mocą potęgi własnej konająca  
widzi przez marzeń drgających rumowiska,  
że świadomość w duszy mojej bolejąca  
w ogrom wszechistnienia siebie przeistacza,  
i siłą własnej mocy życiem tryskająca  
sobą wszechświadomość tworzy świata... i rozpacza,  
aż ogrom tej siły w twórczą się wzbije katuszę,  
aż z skrwawionem sercem wyrwę to cierpienie  
i cisnę jak bryłę ognistą w przestrzenie,  
siłą bólu w nowe światy je zamienię,  
bo w piersi mam twórczą wszechistnienia duszę,  
i cierpię — bo tworzę, i tworzę — bo muszę...

### IV.

W nieśmiertelność płynę, o wszechmocy głoszę  
bolesnych pragnień i ponad gwiazdami  
jak tytan skrzydła ogniste swe wznoszę  
i niebyt napełniam nowemi światami:  
i wlewam wciąż życie w nie z dumnego serca.  
i chrzczę pragnienia ogniem niegasnącym —  
ja, nieśmiertelnych duchów duch morderca,  
wpajam jad rozpaczy sercom się rodzącym;  
i wpajam, aż morze pragnień falujące  
gromem napełni wszechbytu przestrzenie,  
aż echo rozpaczy, nigdy niemilknące,  
potęgę swoją tak wydoskonali,  
że ja — twórca bogów, światów i stworzenie  
w jednej ognistej zlejemy się fali.

Ty, boże jedyny, ojców mych panie,  
co zrywasz teraz moje kajdany,  
którymi sam skułeś mojego ducha,  
wołam do ciebie, wieków konanie!  
wołam do ciebie bolem obłąkany!  
niech dobroć twa, panie, prośbę wysłucha,  
gdy się już zbliża ta wielka godzina,  
żywota więzy kruche co mi poprzecina.  
Pod nogi, o panie, tobie się ścielę,  
jak ktoś brzemienny, gdy już dojrzeje,  
głos dzisiaj błagalny do ciebie wznoszę...  
ty wiesz, o panie, dni cierpię wiele...  
a dziś, gdy zorza życia innego dnieje,  
dziś po raz cię pierwszy, o panie, proszę:  
nad moim grobem niech spokój nie wita,  
lecz niechaj ciągle pływa tęsknota przeżyta! ..

Niech cierpię, niech tęsknię przez wieki bez zmiany,  
niech cierpię bolem niemej rozpaczy,  
co ogniem siarczystym piersi przenika,  
i na samotność wieczną skazany,  
niech wśród wszechświatów żywot... wiodę tułaczy...  
niech przedemną wszelka jedność twa znika;  
duch w nieskończone te ciemne przestworze  
w tęsknocie naprzód zawsze niech płynie, o boże!

Niech rajskie: hosanna grzmią ciągle nademną...  
niech wzrok mój niebo ciągle ogląda  
i ziemię powabną, a nie w żałobie —  
a przed sobą tylko otchłań ciemną...  
czego nie posiadę — niech dusza pożąda...  
niech w bólu, w tęsknocie wyrównam tobie!  
niech nigdy z duszą nie spotkam się bratnią,  
i niech ta prośba będzie pierwszą i ostatnią.



INSTYTUT  
BADAŃ I PRACOWNI PAA

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-110 Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-52-31





LIBRARY  
UNIVERSITY OF TORONTO  
100 St. George Street  
Toronto, Ontario  
M5S 1A5

